

Zeszyty Łukowieckie

Numer 18-19

Listopad - Grudzień 2018rok

Od Autora!

Niestety w Zeszytach Łukowieckich też zdarzają się błędy. Niekiedy wynikają z mojej winy, a czasem z winy tych, którzy przekazują mi informacje. Stąd moje uzupełnienia. Przykładem choćby sprawa młyna, usytuowanego na granicy Łukowca i Nowosielec. Młyn ten, obsługiwał mieszkańców kilku wsi, a Łukowce, ze względu na liczbę mieszkańców, chyba w stopniu największym. W odczuciu Łukowian był ich młynem, choć z jego posadowienia wynikało, że należał do wsi Nowosielce. Właścicielem młyna był ziemianin Tadeusz Kowalewski, a kierownikiem Eustachy Gałań – Ukraińiec ożeniony z Polką. Mówiono o nim „złoty człowiek”. W okresie największego głodu pomagał zarówno Polakom, jak i swoim pobratymcom, nie robiąc żadnej różnicy między ludźmi. Ja napisałem, że był Polakiem. Jeden z czytelników zwrócił mi uwagę na to przekłamanie. Zacząłem więc pytać i dociekać prawdy. Dotarłem do polskiej rodziny jego żony, gdzie wyjaśniono mi, że Eustachy Gałań był Ukraińcem - niezwykle przyzwoitym człowiekiem, który poniósł śmierć z rąk Banderowców podczas ataku na młyn. Za co? A no za polskość jego żony, za to, że nie robił różnicy

między ludźmi. Innego wytłumaczenia tego napadu i zabójstwa nie znalazłem. Tytułem uzupełnienia dodam, że młynarzami pracującymi we młynie pana Kowalewskiego byli: Ukraińiec o nazwisku Łoza oraz dwaj Polacy z Łukowca: Jan Wierzbicki i Wiktor Buczek.

Zeszyt zawiera:

1. Od autora.
2. Możliwie najbliższej prawdy.
3. Łukowiec nie do końca znany.
4. Kresowa kuchnia.
5. Bohaterki i bohaterowie.
6. Pięcioro wspaniałych
7. Autokarem na Łukowiec.
8. Wspomnienia Kazimierza Furtaka i Ludwika Sobali.
9. Życie dostatnie czy skromne.
10. W Żmigrodzie i Żmigródku.
11. Wspomnienia Jana Kudłacza i Joanny Jaskuły.
12. Załączniki: Listy, dokumenty, zdjęcia.

W Zeszycie nr 16 i 17 na stronie 25 napisałem o człowieku, który pędził bimber dla Niemców, że przy okazji robił go również dla całej wsi. Pan Lucjan Żero wytknął mi nieścisłość, gdyż ten człowiek mieszkał nie w jego

wiosce (jakby wynikało z mojego tekstu), lecz w sąsiedniej i dla tej sąsiedniej wsi ten bimber robił.

Na usprawiedliwienie wyjaśniam, że przesłałem panu Lucjanowi roboczy tekst z prośbą o naniesienie poprawek. Podczas rozmowy telefonicznej otrzymałem kilka uwag, które wprowadziłem do Zeszytów, a błąd został zauważony już po ich opublikowaniu.

Otrzymałem także informację, że pan Leszek Jaśniowski, ze wsi Stary Dwór, nie jest zadowolony z podanej w Zeszytach informacji, dotyczącej pochodzenia jego mamy z rodziny Losterów. Tymczasem mama pana Leszka pochodziła z rodziny Kowalskich. Tłumacząc się wyjaśniłem, że materiał dotyczący zamieszkałych na Starym Dworze łukowian otrzymałem od mojej ciotki Janiny Szulc – również mieszkanki Starego Dworu. Miałem podstawę sądzić, że te informacje powinny być wolne od błędów. Tym bardziej, że wiedziałem, iż rodziny Jaśniowskich i Faszynkiedrów dobrze się znały. Jeszcze przed wojną rodzina ta przybyła na Łukowiec i jakiś czas prowadziła sklep dziadka. Moja mama była też matką chrzestną Leszka Jaśniowskiego. Jego ojciec z moim dziadkiem nie bardzo się rozumieli, ale pozostała część tej rodziny była raczej darzona sympatią. Pana Leszek, potraktował mnie ze zrozumieniem. Mówił, że nie robi żadnego problemu, a chodziło mu jedynie o zwrócenie uwagi na pomyłkę. Dodał jeszcze, że i on też czuje łukowianinem, bo przecież na Łukowcu się urodził.

Z kolei Zbyszek Żołna, mój kuzyn, wytknął mi, że w Zeszycie Nr 1,

pisząc o jego rodzinie podałem, że pochodziła z Białorusi. Tymczasem Żołnowie mają korzenie tarnopolskie, pochodzą z powiatu kopyczyńskiego. Pani Genowefa Żołna z domu Bobowska, uznawana była na Walach za rozsądną i mądrą osobę. Pisała też, po wojnie, ludziom podania i wyjaśnienia do różnych urzędów.

Gorzej jest z błędem, jaki zrobiłem pisząc, że żona Władysława Szulca była z domu Kamińska, podczas gdy faktycznie nazywała się Lewicka. Tu nie mam się nawet jak usprawiedliwić. Po prostu pomyliłem nazwiska. Skoro jednak jest okazja, żeby błędy poprawić – niniejszym to czynię.

Zdaję sobie też sprawę, że ludzie na te same fakty patrzą niekiedy odmiennie. Chcę też podkreślić, już kolejny raz, że czytelnicy Zeszytów są dla mnie łaskawi i wielu na drobne błędy nie zwraca uwagi.

Popełniłem też małą pomyłkę pisząc, że mojego dziadka Faszynkiedra ojciec - Józef, który był szewcem, miał i gospodarkę. Dziś raczej skłonny byłbym napisać, że na pewno w Górze Ropczyckiej miał domek z działką i z niewielkim sadem. Jednak czy miał trochę więcej ziemi niż tylko działka przy domu? - nie mam do dzisiaj rozeznania.

Kolejne doprecyzowanie - kiedyś pan Grzegorz Woś - zapytał mnie wprost, kto mi powiedział, że to Rosjanie zabili Kazika Burdzego? A ja, zgodnie z prawdą, odrzekłem, że słyszałem to co najmniej kilkakrotnie od własnej rodziny. Ponieważ jednak zasiał we mnie wątpliwości, postanowiłem także i ten temat wyjaśnić.

W końcu ustaliłem, że zabili go Własowcy. A na moje pytanie dlaczego w rodzinie mówiło się, że to byli Rosjanie? – odpowiadano, że oni rozmawiali po rosyjsku. Błędu tu może nawet nie ma, bo Własowcy to przecież radzieccy żołnierze „izmienniki radiny” (zdrajcy ojczyzny), jak na nich mówili sami Rosjanie. Oni też jakiś czas kwaterowali na Łukowcu. To do nich Kazik Burdzy poszedł z zamiarem kupna broni. Zażądali wódki. Gdy zaniósł im bimber, w zamian dali mu zepsuty karabin - (diektiarowa). Na ten moment nadjechał ich dowódca i bardzo się rozzłościł. Sytuacja miała tragiczny finał. Kazika przywiązali do konia, i (tu jest kilka wersji), jedni twierdzili, że go ciągnęli tym koniem, inni, że biegł za koniem, a w lesie go zastrzelili i ciało przyciągnęli do wsi. W każdym razie jest zdjęcie (słabej jakości) zabitego Kazika, leżącego przed domem z powrozem u nogi. (Zeszyty łukowieckie Nr 16-17 str. 41) Chłopak miał 18 lat. Chciał zdobyć broń, w tamtym czasie nabycie jej w jakikolwiek sposób było traktowane, jak czyn bohaterski.

Możliwie najbliższej prawdy

Zapytałem pana Kazimierza Furtaka, o alabastrownię na Bakocynie: Czy była w granicach Łukowca czy Żurawna? Odpowiedź nie jest prosta, gdyż z map wynika, iż budynki alabastrowi usytuowano na terenie należącym do obu miejscowości. Zapytałem więc o budynek, w którym cięto alabaster, czy stał na terenie Łukowca, czy Żurawna? Pan Kazimierz stwierdził, że ten budynek stał na terenie

należącym do Łukowca. Spytałem więc o miejsce, z którego wydobywano alabaster, czy należało do Żurawna, czy do Łukowca? – Usłyszałem odpowiedź: „Do Łukowca zresztą pojedziesz i zobaczysz na własne oczy!” Można więc domniemywać, że alabastrownia była na Łukowcu! Niestety, my łukowianie nie możemy jej sobie całkiem „przywłaszczyć”, zwłaszcza że we wszystkich opracowaniach sytuuje się ją w Żurawnie.

W okresie międzywojennym alabastrownia zatrudniała kilkudziesięciu pracowników, w tym znanego architekta Józefa Szostakiewicza, jak również Jadwigę Horodyską, wybitną rzeźbiarkę. To ci artyści projektowali wyroby i dbali o ich wysoką jakość. Alabaster był wydobywany w Żurawnie już w XVI wieku. Był koloru białego i uchodził za najbardziej poszukiwany. W okolicznych miejscowościach było kilka łomów gdzie pozyskiwano go w kilku barwach od kremowej po zielonkawą, różowawą, czerwonawą a nawet z czarnymi smugami. Wiek XVI i XVII to okres największego zapotrzebowania na ten materiał rzeźbiarski. Transportowano go wtedy z Rusi do Lwowa, Krakowa, Wrocławia, Poznania a drogą wodną przez porty rzeczne na Sanie i Wisłoku do Gdańska. Był wydobywany z pokładów znajdujących się w Żurawinie, Wasiuczynie, Kołokolnie, Podmichałowicach, Brzozdowcach i wielu innych miejscowościach. W 1567 roku król Polski Zygmunt August II nadał dzierżawcy łomu w Wasiuczynie Hermanowi van Hutten z

Akzwizgranu tytuł nadwornego rzeźbiarza wraz z przywilejem umożliwiającym wykonywanie zawodu na terenie całego państwa. Z wypowiedzi pani Zofii Klimas, która przed wojną pracowała w alabastrowi w Żurawnie wynika, że ten najcenniejszy alabaster „żurawieński” przed wojną pozyskiwano w kilku miejscach; między innymi w Łukowcu w Nowoczynach i Żurawnie.

Wykonywane w XVI i XVII wieku ołtarze, płyty nagrobne, figury świętych, chrzcielnice, ambony znajdują się do dzisiaj w wielu kościołach Lwowa, Krakowa, Rzeszowa, Tarnowa czy Wrocławia.

Alabaster był też wykorzystywany w architekturze świeckiej do wyrobu płytek okładzinowych, tralek, figurek, zwierzątek, świeczników, popielnic czy lamp.

W rozmowie z panem Mokrzyckim na temat wywózki na Sybir łukowian usłyszałem, że w jego przekonaniu, z Łukowca na Sybir nikogo nie wywieźli. Znajac losy tylko kilku rodzin, między innymi Starkiewiczów, Rębiszów, Bładków, Ziemiańskich, Występków - zaprotestowałem. Pytałem też o to, co kryło się pod nazwą „Wandolina”. Pan Józef Mokrzycki wyjaśnił, że Wandoliną nazywano las 100-hektarowy należący do ziemianina Kowalewskiego, przy którym znajdował się też zrujnowany dwór. A ponieważ pan Tadeusz Kowalewski miał kłopoty finansowe, postanowił las wyciąć i sprzedać drzewo. W następnej kolejności zaczął sprzedawać zrab pod domy i pola. Łukowce były obok, więc ludzie, głównie z tych wiosek zaczęli tam

kupować działki. Karczowali zrab, budowali domy i przygotowywali ziemię pod pola uprawne. Tyle na temat Wandoliny dowiedziałem się od pana Mokrzyckiego. Może jeszcze jedna informacja: teren ten należał administracyjnie do wsi Wiszniów.

Już w 1940 roku z Wandoliny wywożono Polaków na Syberię. Puste domy zesłańców kontrolowała policja ukraińska. Później banda UPA miała tam swój punkt wypadowy. Kontrolowała też stamtąd w jakimś stopniu Łukowce. Ludzie przekonani byli, że Wandolina stała się bazą wypadową Banderowców. Z czasem zaczęto mówić „przekłeta Wandolina” bo ginęli tam ludzie. Najpierw byli łapani, zatrzymywani do kontroli, okradani, a później, gdy Ukraińcy zaczęli zabijać Polaków, tracili tam życie.

Kiedy widzę, że coś jest nielogiczne - to staram się to wyjaśniać - czasem dzwonię do osób, które mogą mi coś więcej powiedzieć o problemie. Bywa, że nowe i dodane informacje zmieniają nieraz cały obraz sprawy. W Zeszytach nr 11 i 12 str. 47, przedstawiam fragmenty książki pana Edwarda Kwiatkowskiego „Życiorys Wołyniaka - wspomnienia z lat 1929-1972”. Jest w niej zapis, że pewien rosyjski oficer mówił, iż w Przemyśle (w obozie o nazwie „Przekopane”) leży 30.000 żołnierzy radzieckich zagłodzonych na śmierć przez hitlerowców. Czytając to, zastanawiałem się czy to możliwe, czy to jakieś przekłamanie? Nie miałem kogo zapytać, autor książki już nie żyje. Myślałem nawet, by usunąć z kontekstu samą nieprawdopodobną

liczbę? W końcu doszedłem do wniosku, że nie mam prawa niczego zmieniać, bo i z jakiej racji. Napisałem do Przemyśla, do Urzędu Miasta list z zapytaniem o ten obóz i liczbę ofiar. Odpowiedź przyszła bardzo szybko. Potwierdzono, że obóz jeniecki faktycznie był, ale w celu dokładniejszego wyjaśnienia przesłano moje pismo do Wojskowego Centrum Edukacji Obywatelskiej w Warszawie. Po dwóch tygodniach otrzymałem informację, z której wynika, że obóz jeniecki w Przemyśle był. Utworzono go w 1941 roku, jednak dokładnych danych o liczbie zamęczonych tam radzieckich żołnierzy nie ma. Informacja może za wiele nie mówi. Ale o sprawie wie się nieco więcej (pismo Wojskowego Centrum Edukacji Obywatelskiej stanowi załącznik do niniejszych Zeszytów).

Również pisząc o moim prapradziadku (dziadku Antoniego Faszynkiedra), który podobno był pierwszym starostą w Strzyżowie, pokusiłem się i napisałem w tej sprawie zapytanie do Strzyżowa. Odpowiedź Towarzystwa Miłośników Ziemi Strzyżowskiej praktycznie nic nie dała. No może mniej wierzę w opowieść dziadka Antoniego, że jego dziadek Austriak, był pierwszym starostą w Strzyżowie – choć to mógł być jakiś urzędnik z Austrii (załącznik - pismo ze Strzyżowa z Towarzystwa Miłośników Miasta).

Przeglądając zapiski naszej mamy (robione po wojnie) zatrzymałem się znowu na jej stwierdzeniu, że po stacjonujących Azerach zostało kilka „pamiątek” w postaci dzieci na

Łukowcu. Gdy kiedyś zapytałem mamę o te dzieci, odpowiedziała: „Tego to ci nigdy nie powiem!”- No i też nikt inny nic mi na ten temat nie mówił.

W 2016 roku dostałem od pani Danuty Rybotyckiej zdjęcie rodzinne zrobione na Łukowcu z żołnierzami Azerami. Na zdjęciu obok rodziny Skrybantów są też przedstawiciele rodziny Sidorów i w środku stoi córka pana Eustachego Gałana. Niektóre dzieci siedzą na kolanach azerskich żołnierzy. W książce pani Izabeli Skrybant-Dziwiątkowskiej „Tercet Egzotyczny - moje życie” znalazłem stwierdzenie, że część tych żołnierzy była zupełnie w porządku. Niestety jakaś ich grupa szukała przygód, stąd i gwałty na kobietach, a w konsekwencji niechęć do nich dość powszechna.

Pan Grzegorz Woś w rozmowie o Azerach uściślił, że ten oddział, liczący około 70 żołnierzy w służbie niemieckiej, to nie byli tylko Azerowie ale też Kałmucy i Turkmeni i jak się wyraził: „Być może jeszcze i jakieś inne egzotyczne nacje”.

Problematyczne jest także dokładne ustalenie, ilu przyjezdnych partyzantów działało na Łukowcu. Wydaje się, że było ich co najmniej kilkudziesięciu. Do tej grupy należy przecież zaliczyć „Pioruna” - Piotra Króla i połowę oficerów – którzy sprawowali na Łukowcu różne funkcje związane z działaniami Armii Krajowej i Samoobrony. Zapytałem więc pana Kazimierza Paczkowskiego o liczbę partyzantów, którzy przybyli z innych miejscowości na Łukowce;

- Czy było ich kilkunastu, czy kilkudziesięciu? Odparł, że „raczej kilkudziesięciu”.

Zależy mi na tym, żeby w swoich stwierdzeniach być możliwie najbliżej prawdy. Jeszcze będąc młodym chłopcem, pytałem mojego dziadka Karola Burdzego, ile było domów (gospodarstw) na Łukowcu? Dziadek odpowiadał, że około 600 (sześćset). Często zastanawiałem się, czy dziadek nie zawyżył nieco tej liczby? W końcu zapytałem Kazimierza Furtaka, co sądzi na ten temat. Pan Kazimierz stwierdził, że domów w obu wsiach mogło być ponad pięćset i przychylił się do liczby 550 – 560. Więc dziadek Karol, raczej nic nie wyolbrzymał.

Mam też wiele pytań dotyczących tematyki żydowskiej na Łukowcu. Ilu Żydów uratowano? Czy to prawda, że ktoś zabił jakichś Żydów dla pieniędzy? Czy kogoś z Żydów mieszkających na Łukowcu wydano Niemcom? Ilu przetrwało wojnę?

Pojechałem do Łażan, do wnuczki pana Ozgi. Nie była w stanie odpowiedzieć na pytanie: „Czy prawdą jest, że do jej dziadka po wojnie przyjeżdżali Żydzi z Wrocławia, Legnicy, Świdnicy? Przyjeżdżali licznie, nawet po kilkanaście osób w odwiedziny, jak również na nasze święta? Edward Polak w swojej książce pisał, że poinformowano go, iż tylko pierwszym transportem z Łukowca do Polski przyjechało 25 Żydów. Informacja ta jest sprzeczna z tym, co przekazał mi pan Kazimierz Paczkowski. Twierdził, że przyjechał przecież pierwszym transportem do Brunowa i żadnych Żydów w

transporcie nie widział! Zastanawiałem się z czego wynika taka rozbieżność. Tą osobą, która informowała o tym pana Edwarda Polaka, był pan Marian Czech, który osiedlił się we wsi Osiek, w powiecie średzkim. Czyżby, mówiąc o pierwszym transporcie, miał on na myśli swój transport - najprawdopodobniej pierwszy do powiatu średzkiego?

Informacje o relacjach polsko-żydowskich, zarówno jeśli chodzi o okres przedwojenny jak i okres wojny, są bardzo często nieprawdziwe, a nawet są straszliwie chore. Podam tylko kilka przykładów. Przeczytałem w Wikipedii, że Polacy zabili więcej Żydów niż ich uratowali. Ta informacja krąży po świecie i Żydzi szczególnie w Ameryce są przekonani, że to prawda. Natomiast nie bardzo wiedzą, że za pomoc Żydom w Polsce, w jedynym kraju w Europie, zabijano całą rodzinę.

Profesor Jan Gross, autor książki „Strach”, pisze, że te ponad sześć tysięcy medali Yad Waschem dla Polaków za ratowanych Żydów to mało, zważywszy na liczbę Żydów w Polsce, która kształtowała się w granicach 3,0 - 3,5 miliona. Może to jest i prawda, ale dlaczego z Łukowca medal za uratowanie Żydów dostała tylko jedna rodzina; Jana Kuchty? Tymczasem powinno dostać ten medal przynajmniej pięć a może nawet siedem rodzin? Nikt mi nie podważy prawdziwości listu pana Henryka Libermana, który pisze, że z jego miasteczka Żurawna uratowało się na Łukowcu 14 Żydów i że wszystkie te

osoby on osobiście znał. Pisze jeszcze o dwóch dziewczynach, które też się uratowały. On je poznał, choć nie były z Żurawna. Znalazłem w Internecie wywiad pana Jana Kuchty o uratowanych przez jego rodzinę czterech Żydach - chodzi o trzyosobową rodzinę pana Henryka Libermana i chłopca o nazwisku Mosze Princ. Na pytanie dziennikarki: „Kto jeszcze pomagał Żydom na Łukowcu?” pan Jan Kuchta wymienił kilka nazwisk; między innymi nazwisko Burdzyn - to chyba błąd dziennikarki - gdyż nazwiska Burdzyn w Polsce nie ma - jest Burdzy. Oczywiście sam pan Kuchta wymienił jeszcze nazwiska: Koziół, Szot, Krawczyk, sołtys Jan Bał. Słyszałem, że jakieś dzieci, w jednej z siedmiu rodzin Burdzych mieszkających na Łukowcu, pomarły i ta rodzina dała akta urodzenia (tych dzieci) jakieś rodzinie żydowskiej, która miała dzieci w podobnym wieku. Tę informację wkładam raczej między bajki. Wiem tylko to, co usłyszałem od dziadka: że jakiegoś Żyda zawiózł do miasta i o mało co przy tej okazji nie stracił życia. Pan Edward Polak, także pisze w swojej książce, że dziadek mój przewiózł jakiegoś Żyda, nie zdając sobie sprawy z zagrożenia. Henryk Liberman nigdy nie powiedział, że ktoś na Łukowcu zabił Żyda, albo że jakiś Żyd został zdradzony, okradziony czy wydany Niemcom. Nie można więc opierać negatywnych historii na domniemaniach czy wymysłach. Długo rozmawiałem z panem Libermanem przez telefon. Wśród poruszanych tematów nie mogło

zabraknąć pytań dotyczących ratowanych przez Polaków Żydów. Rozmawialiśmy po przyjacielsku. Pamiętam, że pan Liberman mówił: „Polacy na Kresach ratowali Żydów - natomiast w Centralnej Polsce było gorzej”, a może nawet, że było trochę inaczej. On coś słyszał, choć przecież w Centralnej Polsce nie był. Ja tego nie komentowałem, bo rozmawiałem z człowiekiem starszym i takim, który przeżył holokaust. Zależało mi też, żeby od niego dowiedzieć się jak najwięcej. Konsekwencją naszej rozmowy i mojego stwierdzenia, że w jego mieście w Dusseldorfie mieszka moja siostra Danuta było to, że on z moją siostrą kilka razy spotkał się a nawet prosił o przesyłanie Zeszytów Łukowieckich na jej adres. Rozmawiał z nią jak ze znajomą ze swoich stron. W Dusseldorfie pan Liberman był (tak mi siostra przekazała) wicerabinem. Także tę informację potwierdził pan Jan Kuchta, który był zaproszony do Dusseldorfu przez pana Libermana. On do łukowian nie miał najmniejszych pretensji - był im wdzięczny, że uratowali jemu i jego rodzinie życie. Powiem nawet więcej, on uważał, że wszyscy Żydzi z Żurawna, którzy uciekli na Łukowiec, przeżyli.

Aby zorientować się dokładniej, jak relacje polsko - żydowskie wyglądały na Łukowcu, zapytałem kilku starszych łukowian, jak oni je postrzegają. Kazimierz Furtak odpowiedział: „Według mnie relacje były normalne”. Gdy zapytałem o to pana Grzegorza Wosia, odparł: „Czy widzi pan jakichś Żydów, bo ja nie, a oni z nimi ciągle walczą, choć ich w

Polsce praktycznie nie ma. Walczyli z nimi przed wojną, no i walczą teraz”. Dodał też, że gdy był dzieckiem; bardzo ciężko zachorował na błonicę. Rodzice zawieźli go do lekarza – Żyda Aschkenazego do Żurawna. I to właśnie ten lekarz uratował mu życie. Pan Kazimierz Paczkowski, także powiedział, że raczej relacje układały się dobrze, choć on ich nie znał, bo wszyscy Żydzi (łukowieccy) mieszkali na Starym Łukowcu, a Paczkowski mieszkał na Nowym. Zapytałem też pana Jana Kudłacza, mieszkańca Hrechorowa, co sądzi o relacjach polsko-żydowskich, odparł: - „Pan wie, myśmy naszych Żydów kochali, bo u nas oni byli wszyscy bardzo do Polaków dobrze nastawieni”. Więcej już nie pytałem.

Łukowiec nie do końca znany

Ludzie pytają mnie o różne sprawy związane z Łukowcem. Czasem jestem w stanie coś powiedzieć, ale są i pytania zadziwiające i przerastające moją wiedzę. Przykładem pytanie pana Kubali, ze Starego Dworu, o ojca, który poszedł w 1939 roku na wojnę i wszelki ślad po nim zaginął. Albo pan Adam Aleksandrowicz, ze Szczecina, pytał o dziadków, mając nadzieję, że ktoś coś o nich wie. Babcia mieszkała na Bakocynie, chyba po stronie należącej do Żurawna, ale pan Aleksandrowicz sądzi, że chodziła do szkoły na Łukowcu Żurowskim. Niestety, nie znalazłem osoby, która by mi mogła coś powiedzieć o pana Adama Aleksandrowicza babci o nazwisku Tabaka. Jest jeszcze inna sprawa, niekiedy informacje wydają się być

prawdziwe, a jednak w zestawieniu z innymi rodzą się wątpliwości czy faktycznie tak było. Na przykład stwierdzenie mojej cioci, we wspomnieniach Janiny Szulc, że na Łukowcu tylko ośmioro dzieci chodziło do szkół ponadpodstawowych. Wydawało mi się to nawet zrozumiałe – wioska przedwojenna – na Kresach - ziemia największą wartością, dającą utrzymanie, gdy jest jej więcej, jest względny dobrobyt. Pracy poza rolnictwem jest mało. Ale, jednak - dźwięczy mi w uszach zdanie syna pana Józefa Dziuby, że ojciec, który był działaczem samorządowym i miał ośmiomorgową gospodarkę, jeszcze dorabiał jako introligator, oprawiając książki, a w zimie tkał też płótno. Podobnie wyjaśnia pani Kazimiera Buczek, której ojciec był młynarzem a teść, Wiktor Izdebski, księgowym w alabastrowi, u księcia Czartoryskiego. Oprócz tego był jeszcze teść księgowym w jednym z licznych majątków księcia. Ciekawe jest również stwierdzenie córki Franciszka Babuli, że tato, przed wojną, skończył dwuletnią szkołę stolarską.

Także ostatnio pan Jurand Kopalski opowiedział, historię swojego ojca Leona. Ojciec uzyskał małą maturę przed wojną, korzystając ze stypendium, które ufundował dla grupy wiejskich dzieci, książę Czartoryski. Mówił też, że mama chodziła do szkoły dla dziewcząt we Lwowie, wybuch wojny przeszkodził jej w zdaniu małej matury. Dziadkowie (ze strony babci - Rogale) prócz dużej gospodarki na Łukowcu posiadali m.in. kamienicę we Lwowie.

Ojciec pana Juranda znalazł się w czasie wojny w obozie jenieckim na Ukrainie (nieopodal Stanisławowa) jako więzień. W związku z tym, że znał j. niemiecki, awansował na obozowego tłumacza. Ale nadchodził front radziecki, Niemcy nosili się z zamiarem likwidacji obozu. Wtedy pan Leon wpadł na szalony pomysł. Gdy komendant upił się do nieprzytomności, wszedł do kancelarii obozowej i wypełnił druk z rozkazem natychmiastowego wyjazdu w tajnej misji. Druk, skierowany do instytucji i urzędów niemieckich, opatrzony był nakazem udzielenia wszelkiej pomocy posiadaczowi dokumentu. Pan Leon rozkaz opieczętował, sfalszował podpis komendanta, a dla dodatkowego kamuflażu wpisał nazwisko Kopalski, choć nazywał się wtedy Kopała. Pół roku z tym rozkazem przechodził i, jak mówi pan Jurand, miał różne przygody. Raz nawet podwozili go wozem przez pół dnia jacyś dwaj niemieccy urzędnicy do najbliższego miasteczka, bo „tajna misja, to tajna misja”.

Rozmawiając z kuzynem Markiem Burdzym, dowiedziałem się, że jego dziadek Józef - miał na Łukowcu oprócz gospodarki jeszcze i sklep. Zdziwiło mnie to i powiedziałem: „I sklep i gospodarkę?”. A on odparł, że dziadek był jeszcze i szewcem. Zacząłem wypytać i okazało się, że faktycznie był trójzawodowcem. Miał pół sklepu na Krzyżowych Drogach. Razem z Janem Burdzym wykupili go od wyjeżdżającego do Argentyny w 1938 roku Bronisława Wosia. Sklep prowadziły dwie rodziny. W końcu ugadali się, że jeden spłaci drugiemu

jego połówkę. Ale który, któremu spłacał, tego nie wie ani córka Jana, mieszkająca w Lipnicy, ani córka Józefa – Kazimiera Kućma mieszkająca w Chicago. W tym wszystkim chodzi mi o podkreślenie, że wielu mieszkańców Łukowców, niezależnie od pracy w polu, zajmowało się i inną działalnością. Często, oprócz pola mieli przy domu pasiekę, czasem niewielki sadek. Na wsiach działały trzy zespoły muzyczne, było kilku tkaczy, kilkunastu szewców. Partyka handlował końmi, Turbak robił uprząże, Giermuga Adam toczył ptaki i był dróżnikiem, Cisowski zaś zawodowym rzeźnikiem, choć umiejętność zabicia świni i zrobienia wyrobów masarskich była raczej powszechna. Spora część ludzi sama wykonywała kosze, koszyczki czy różne pojemniki do gospodarstwa. Było we wsiach kilku bardzo dobrych stolarzy, bednarzy, zdunów. Kuśnierstwem zajmowali się: Paweł Koziół, Józef Furtak i Jan Cygan. Było też kilku gajowych, a Szpyt miał olejarnię. Nadwyżki żywności sprzedawano do sklepów. Był też na wsi skup mleka. Czasem przyjeżdżał z miasta jakiś Żyd i kupował od chłopów furę jabłek do dalszej odsprzedaży. Paweł Koziół był też polowym u hrabiego Rostworskiego. Ostatnio w Wichrowie, uświadomiono mi (pani Genowefa Ziobro), że ilość ludzi szlifujących alabaster w warsztacikach przydomowych nie zamykała się liczbą kilku, lecz robiło to co najmniej kilkunastu łukowian. Pan Grzegorz Woś wspomniał też, że jego rodzice

mieli już wtedy wirówkę do mleka, marki „Alfa Lokal”.

Kresowa kuchnia

Zbierając różne informacje o Łukowcu, doszedłem do wniosku, że w latach 50. i 60. ubiegłego wieku moja babcia, Ewa Burdzy, gotowała tak samo jak przed wojną, na Kresach. Doświadczyłem tego naocznie, bo mieszkaliśmy z dziadkami razem w dużym poniemieckim domu, który śmiało można nazwać willą. Było w nim 6 pokoi, 2 kuchnie, 2 spiżarnie, balkon, ganek, 4 piwnice pod domem i wielki strych. Do pokoi wchodziło się z tz. sieni, które były na obu kondygnacjach.

Dziadkowie korzystali tylko z 20 metrowej kuchni, dużego pokoju i obu spiżarni. W mniejszej spiżarni było mięso, słonina w wielkim garnku, kielbasa na hakach i słoiki z różnymi sokami, w większej spiżarni stały worki z mąką, skrzynie ze zbożem oraz pojemniki na grys i śrut, które zmieszane z gotowanymi ziemniakami, stanowiły jedzenie dla świń. Stąd też pobierało się zboże do karmienia kur. Tutaj babcia przygotowywała też ciasto i robiła masło w różnych maśniczках. Na małej, z Łukowca, gdy miała 4-5 litrów śmietany a na poniemieckiej, na korbę, gdy śmietany było 10 czy 12 litrów. Pamiętam, jak nie pozwalała nam pić chudego mleka (przepuszczanego przez centryfugę). Jeszcze dziś słyszę jej słowa: „Nie pij tego, bo będzie cię brzuch bolał”. Piliśmy więc mleko, które dzisiaj nazywa się tłustym. Schodziłem też często do piwnicy, gdzie było stosunkowo chłodno. Tam na ostatnim schodku stał gliniany garnek z

kwaśnym mlekiem, podnosiło się metalową pokrywkę i nabierało chochelką mleka zimnego, zbrylonego - było przepyszne. Babcia prowadziła kuchnię typowo wiejską, którą można by określić jako tę z końca XIX wieku. Piszę to zupełnie na serio, gdyż babcia urodziła się w 1883 roku. Miało się wrażenie, że nic w swojej kuchni nie zmieniała. Natomiast kuchnia mamy była nowoczesna - pełna warzyw i zieleniny. To o czym się dzisiaj mówi, mama stosowała już 60 lat temu, tylko jej kuchnia była znacznie lepsza od dzisiejszej, bo przed laty wszystkie produkty były bez chemii i bez polepszaczy. W kuchni babci stałą potrawą był żur, gotowany codziennie rano. Dziadek jadł go ze smakiem. Babcia i nas na ten żur zapraszała, i często zamiast przygotowanego przez mamę śniadania, pałaszowaliśmy zalewajkę. Standardem do żuru były ziemniaki i skwarki, często też gotowane jajka a czasem i swojska kielbasa. Z jej wypieków pamiętam sernik na cieście drożdżowym i pączki z dżemem różanym w środku. A gdy robiła pierogi, zawsze kilka znalazło się z marmoladą lub powidłami, to były pierogi dla dzieci. Kuchnia babci obfitowała w kasze, fasolę i kapustę. Kiedy przychodziliśmy do babci Marii Faszynkiedrowej, najpierw zjadaliśmy andrut, potem ciasteczka pieczone specjalnie dla nas. W okolicy świąt babcia robiła też wyjątkowo smaczną ćwikłę, zawsze miała dla mnie słoiczek, bo ja zjadałem jej najwięcej.

Większość mieszkańców naszej wsi stanowili chłoporobotnicy i chociaż

około 30% z nich, to nie byli łukowianie, ci z Łukowca nadawali wsi ton. Kradzieży żadnych na wsi, nie pamiętam. Mama wpajała nam, że „cudza rzecz jest święta”. Nawet wydawało mi się, że tak właśnie brzmi jedno z najważniejszych przykazań Bożych. Będąc na wycieczce we Lwowie, w maju 2017 roku, rozmawiałem z Mietkiem Paczkowskim na temat łukowian. On także stwierdził, że w Brunowie nie było żadnych kradzieży. Ja ten temat kontynuowałem i potwierdziłem, że nie pamiętam takich sytuacji, żeby ludzie na Wałach coś sobie przywłaszczali.

Rozmawiałem również o tym kiedyś w Wichrowie. Od Zenka Ziobro, usłyszałem pytanie: „Franciszku, czy tam u was na Wałach był kołchoz?” – Zaprzeczyłem. Zenek zaś wspomniał: „Kiedyś pasłem krowy i jedna weszła w szkodę. Ojciec nadszedł, zdjął pasek i kilka razy mi przyłożył po plecach, bo zwierzątek nie pilnowałem. Za parę dni jedna z krów, które pilnowałem, znowu weszła w pole - tym razem w pegeerowskie. Ojciec, tak jak wcześniej szedł drogą, ale ku mojemu zdziwieniu paska nie zdjął, poszedł spokojnie dalej”. Zenek w ten sposób dał mi do zrozumienia, że ludzie własnego mienia sobie nie kradli, ale państwowego nie szanowali. Kiedy zapytałem mojego brata Wojciecha, jak wspomina nasz rozdział życia na Wałach – przypomniał, że Tato miał porozumienie z dziadkiem. Dawał mu co miesiąc 500 zł, a w zamian rodzice mieli pełny dostęp do ziemniaków, maki, warzyw i owoców. Na dodatek jeszcze, z

dwóch czy trzech świnek, które dziadek chował - jedna była dla nas. Zauważył też, że dziadkowie bardzo dbali o zwierzęta. Nie tylko o pełny żłób, ale również o ich wygląd i higienę. Co sobotę zmiatało się też obejście i drogę publiczną przy domu. Tak chyba było i na Łukowcu, gdyż po wojnie robili to wszyscy nasi sąsiedzi. Pamiętał też szarwark i warty na wsi, na które chodzili gospodarze, przekazując sobie symboliczną łaskę. W latach 60. trwała też zażarta walka ze stonką ziemniaczaną. Zbierała się cała wieś (miała być jedna osoba z każdego domu) i ruszaliśmy, w pola aby ją wszystką wyzbierać. Mówiło się przy tym, że to Amerykanie zrzucili ją, aby osłabić obóz socjalistyczny.

Bohaterki i bohaterowie

Na miano bohaterów Łukowca zasłużyło wielu jego mieszkańców. Myślę nawet, że nie jesteśmy w stanie ich wszystkich wymienić. Pierwszą grupę stanowią partyzanci i ich dowódcy. Profesor Grzegorz Mazur wymienia dwunastu, ale dowódców i oficerów było znacznie więcej. W drugiej grupie bohaterów są ci, którzy w okresie wojny sprawowali różne funkcje w administracji wsi, to między innymi sołtysi obu wsi, sekretarz gminy, osoby pełniące na Łukowcu funkcję przewodniczących Sielrady i wszyscy księża, którzy pracowali w łukowieckiej parafii, czy nawet ci którzy pojawiali się na Łukowcu w czasie wojny. Inną grupą bohaterów byli ludzie, którzy zdecydowali się na przechowywanie i pomoc Żydom. Tych rodzin, było co najmniej 5-6, a

być może, że nawet kilkanaście, gdyż Żydzi często przenosili się z miejsca na miejsce. Robili to z różnych powodów, jak choćby z tego, że domy, w których się ukrywali, były usytuowane w nazbyt widocznym miejscu. Najlepszymi miejscami dla ukrywających się Żydów były domy blisko lasu, które można było niepostrzeżenie opuścić w razie jakichś niepożądanych wizyt. Z ostatniej rozmowy z panem Kazimierzem Paczkowskim dowiedziałem się, że u Wołowców mieszkała Żydówka (dziewczyna), która nawet specjalnie się nie ukrywała. Pan Paczkowski ze Staszkiem Turbakiem często ją odwiedzali. Była bardzo ładna, Staszek coś do niej czuł i chyba z wzajemnością. Po jego tragicznej śmierci, już po wojnie, wyjechała do Ameryki.

Odrębną grupą bohaterów były nasze matki i babcie, które niekiedy same przez wiele lat musiały utrzymywać liczne rodziny po śmierci mężów i ojców. Niekiedy ich tragiczna sytuacja wynikała z faktu, że ojciec czy mąż byli na wojnie. Przykładem mój dziadek Faszynkieder. Po klęsce wrześniowej 1939 roku przekroczył granicę węgierską, a wrócił do kraju dopiero w 1948 roku z Anglii. I w tej sytuacji nawet można mówić o happy endzie. Jednak w przypadku kilkunastu albo nawet kilkudziesięciu innych ojców rodzin, szczęśliwego zakończenia nie było. Rodziny pozbawione mężczyzn ledwie egzystowały. Michał Sobala pojechał kupić trochę zboża i z wyprawy nie wrócił. Podobnie i kilku innym

rodzinom z Łukowca przydarzyły się takie tragedie.

Inną grupą bohaterów stanowili partyzanci, przysłani do obrony wsi. Było ich kilkudziesięciu. Sam Piotr Król mówił o nich, że to zdyscyplinowani i bardzo dobrze przeszkoleni młodzi obrońcy. Jeszcze inną grupę bohaterów tworzą ludzie, którzy zachowali się w różnych sytuacjach niezwykle. Przykładem choćby Gienia Kantor, która zgłosiła się do więzienia za swoją matkę. Rosjanie matkę zwolnili a ją aresztowali. Rodzina Kantorów była podejrzana o to, że mieli w gospodarstwie magazyn broni dla partyzantów.

Ponowne odkrycia

Postanowiłem wszystko co dotyczy Łukowca jeszcze raz przemyśleć. Jak postępować, żeby dowiedzieć się jeszcze więcej. Jak powiększyć zbiory? Co zrobić żeby ludzie się uaktywnili. Jak szukać Łukowian i ich potomków porozrzucanych po Polsce? Czy powinienem zbierać dokumenty z okresu przedwojennego? Na te pytania odpowiedziałem sobie pozytywnie. Postanowiłem wszystko powtórzyć jeszcze raz. To znaczy iść ponownie tymi samymi drogami i jeszcze raz pytać ludzi o to, o co już pytałem. Szukać jeszcze raz w tych samych domach eksponatów, dokumentów, wspomnień. Jeżeli przy tej okazji uda się nawiązać jakieś nowe kontakty z ludźmi zainteresowanymi Łukowcem, to tylko dobrze. Zacząłem od mojego rodzeństwa i pytań dotyczących dziadków i rodziców. Ciekawiło mnie, co pamiętają z opowiadań o Łukowcu? Czy mają jeszcze jakieś

przedmioty lub dokumenty ? - Pytanie było zasadne z tego choćby względu, że w latach 70. jedna z moich sióstr Danuta Czerwińska – Burdzy, pracująca w Domu Kultury w Lubinie, wpadła na pomysł zorganizowania wystawy poświęconej dziadkowi Faszynkiedrowi: Wystawa nosiła tytuł „Pamiętki żyjącego żołnierza z pod Monte Cassino”. Widziałem tę wystawę. Wśród eksponatów były medale dziadka i trochę dokumentów wraz ze zdjęciami i kilkoma egzemplarzami gazety „Goniec Karpacki” oraz trochę rzeczy z dziadka żołnierskiej odzieży.

Przedmioty wyeksponowano w kilku gablotach. Wszyscy odwiedzający dom kultury, czy udający się do kina, mogli wystawę zobaczyć, gdyż usytuowana była w dużym holu, prowadzącym do sali widowiskowej. Dziadka medale i zdjęcia prezentowały się bardzo dobrze a zainteresowanie ekspozycją było spore. Kiedy, kilka miesięcy temu zapytałem Danutę o tę wystawę pamiętała, że była udana. Wspomniała też, że przyszedł do niej kierownik Domu Kultury i powiedział: „Wiesz za tę wystawę, to wy (obie moje siostry) powinniście siedzieć w kryminale. Bo przeczytałem te gazety prezentowane w gablotach. I stwierdzam, że te teksty, to czysta antykomunistyczna propaganda. No ale komuniści nie umieją czytać”.

Faktycznie teksty w gazetach, były nieraz mocno antyradzieckie.

Piszę o tej wystawie głównie dlatego, że wszystkie te eksponaty zostały zwrócone mojej siostrze, a po jej wyjeździe do Niemiec znalazły się u

drugiej mojej siostry Marii Muszyńskiej. Później, gdy zacząłem się interesować życiorysem dziadka, otrzymałem od drugiej siostry Marii większość tych eksponatów, w tym zdjęcia i medale dziadka. Siostra nie żyje już od kilkunastu lat. Poprosiłem więc szwagra o pozwolenie przeszukania ich biblioteczki z nadzieją, że może znajdzie się jeszcze jakiś dokument czy książka z Łukowca. Umówiliśmy się na konkretny dzień, ale w międzyczasie szwagier przywiózł mi kilka rzeczy, wśród których dwie wydają się naprawdę cenne. Jedna z nich to obrazek z wierszem od Ojca Trapisty z Larum w Palestynie, gdzie dziadek dotarł, gdyż tam organizowało się polskie wojsko. Jest na tym obrazku data 28.IX.1940 r. i poruszający wiersz polskiego zakonnika. Druga rzecz, to Mały Modlitewnik Żołnierski, wydany w Londynie przez Biskupa Polowego Wojska Polskiego z 1942 roku. Tydzień później pojechałem do szwagra i zacząłem jeszcze raz przeglądać jego biblioteczkę. Po trzech godzinach poszukiwań natrafiłem na kilka rzeczy: Zeszyt 16 kartkowy (27 stron zapisane przez siostrę Danutę) zatytułowany „Zapiski dziadziusia Antoniego Faszynkiedra cz. I 1982 02.28”. – Nie były to zapiski, a raczej wspomnienia dziadka, dyktowane siostrze Danucie. Znalazło się tam trochę informacji o okolicznościach w jakich zdecydował się dziadek wstąpić do Legionu, dowodzonego przez generała Józefa Zielińskiego. (Korpus Posiłkowy Polski). Może jeszcze jedno spostrzeżenie. Dziadek najpierw

znalazł się w oddziałach rekrutacyjnych w Bolechowie, a następnie został wysłany do Łużan na Bukowinie, do oddziałów sanitarnych. Tam zastał go kryzys przysięgowy. Opowiadał, że między innymi ksiądz Józef Panaś zbuntował polskie oddziały, gdy Austriacy przekazali Polesie i część dzisiejszej Lubelszczyzny tworzącemu się państwu ukraińskiemu. Polacy zbuntowali się i w konsekwencji tego protestu postanowili przejść na rosyjską stronę, i dołączyć do wojsk polskich, walczących pod dowództwem Polaka generała Dowbór - Muśnickiego. Ucieczka tylko dla części legionistów zakończyła się szczęśliwie. Dziadek znalazł się w tej grupie żołnierzy, która nie zdołała się przedrzeć przez linię frontu. Powód dziadkowego opóźnienia był prosty. Polski oficer kazał mu pilnować austriackiego generała, który podjechał samochodem i próbował wyperswadować legionistom dezercję. W tym czasie pociąg pancerny przeciął kolumnę maszerujących żołnierzy i otworzył ogień na dwie strony. Dziadek siedział w rowie z generałem. W końcu tę część legionów która nie przeszła przez tory otoczyli austriacy i zabrali do niewoli. Byli internowani na Węgry do Marmaros Sziget. Tu należało by jeszcze stwierdzić, że dziadek był stosunkowo krótko w legionach, ale jednak w nich był. Jak mówił - legionistów nie było tak znowu wielu – po wojnie naliczono ich nieco ponad 30 tysięcy. Obsadzano nimi różne ważne stanowiska państwowe, gdyż uważano ich za ludzi całkowicie pewnych -

prawdziwych patriotów, którzy Polski nie zawiedli i nigdy nie zawiodą.

Dziadek opowiadał też o tym, co robił w okresie międzywojennym, jak funkcjonował zakład szewski w Chodorowie, a następnie wspominał swoją pracę w Komendzie Wojewódzkiej Policji w Stanisławowie. Mówił np., że przez 2 lata pracował w ochronie wojewody. Dwukrotnie podawał wysokość miesięcznego zarobku - 400zł. Stwierdził też, że były to duże pieniądze, bo tyle wtedy kosztowała morga pola. Wspominał również, że komenda policji wysłała go do szkoły żydowskiej. Była to szkoła dwuletnia i za każdy miesiąc płacili za niego chesne w wysokości 60 zł.

Znalazł się też zapis dotyczący sklepu na Łukowcu. W początkowym okresie gdy go otworzył, ludzie nie chcieli u niego kupować. Byli przyzwyczajeni do zaopatrywania się w żydowskich sklepikach i tego nie chcieli zmieniać.

W każdym bądź razie znalazłem u szwagra jeszcze 3 książki. Jedna z pieczętą „Parafia Łukowiec” a dwie to trylogia H. Sienkiewicza: Potop pierwszy i drugi tom z napisem na jednym tomie: „własność Andrzej Baran - Łukowiec Wiszniowski” Po tym sukcesie umówiłem się z drugą moją siostrą Jadwigą Wardach, na przeszukanie i jej biblioteczki. Udało mi się i tam znaleźć zeszyt „Arytmetyka” mojej mamy – najprawdopodobniej ze średniej szkoły i książkę „Pomoc w nagłych wypadkach” – księżnicy Atlas Lwów – Warszawa, a także książki: „Rok 1918 we Lwowie” „Rewolucja

Światowa Tomasa Masaryka” z pieczęcią Biblioteki Nauczycielskiej w Tarnopolu, i broszurkę „Tradycje żołnierza polskiego” autorstwa Kazimierza Przerwy Tetmajera, wydanie w 1920 roku oraz książkę „Historia Kościoła Katolickiego” – Książnica polska - 1923 rok.

Tych kilka zdobyczy może powiększyć zasób książkowy naszej Izby Pamięci - kącika: „Książki i dokumenty z Łukowca” Przekonuję się też, że wielu łukowian może mieć jeszcze różne dokumenty, zdjęcia i książki z tamtego okresu.

Pięcioro wspaniałych

Postanowiłem napisać chociaż po kilka zdań o ludziach, których większość łukowian uważa za bohaterów, gdyż zrobili dla Łukowca coś więcej niż tylko to, co nakazywała im zwykła postawa patriotyczna.

Bal Jan pseudonim „Wąs”- umiał zjednywać ludzi

Był sołtysem Łukowca Żurowskiego, współpracował z AK i był bardzo aktywny. Sołtysi obu Łukowców; Cacaj Józef i Bal Jan w strukturach Armii Krajowej i Samoobrony odpowiadali za kwatermistrzostwo i zaopatrzenie. Rodzina Balów po wojnie osiedliła się w Lipnicy, w powiecie średzkim, a po jakimś czasie Jan Bal przystąpił do podziemnej organizacji Orła Białego. Myślę, że odegrał on tam też pewną rolę agitacyjną gdyż wielu łukowian ufało jemu i za jego przykładem zapisywali się do tej organizacji. Mój swat Zbyszek Morawski, który pochodzi z sąsiedniej wsi Brodno usłyszał kiedyś jego nazwisko i powiedział: „O tym

Balu to słyszałem, że był przed wojną jakimś ważnym człowiekiem” Wyjaśniłem mu, że przed wojną i też w czasie jej trwania był sołtysem dużej polskiej wsi i że w strukturach Armii Krajowej pełnił odpowiedzialne funkcje. Ponadto dobrze dogadywał się z Edwardem Polakiem – komendantem Łukowca. Polak korzystał z jego możliwości mediacyjnych. Jako sołtys mógł gdzieś pojechać, o coś zapytać, czy nawet coś uzgadniać.

Najprawdopodobniej on negocjował z Niemcami możliwość przyjęcia przez wieś Azerów. To miało być dodatkowe zabezpieczenie wsi przed Ukraińcami. Sołtys Bal robił to w uzgodnieniu z komendantem Edwardem Polakiem. Można nawet powiedzieć, że na polecenie dowództwa Bazy „Topór”. Słyszałem też od Kazimierza Furtaka, że gdy transport z łukowianami dojechał na Śląsk do Szczepanowa, koło Środy Śląskiej, późnym popołudniem, ludzie uświadomili sobie, że znaleźli się na stacji docelowej. Nastąpiło pewne odprężenie. Następnego dnia mieli zacząć szukać miejsca, w którym trzeba będzie się osiedlić. Ludzie zaczęli się krzątać, każdy na swój sposób. Jedni doglądali inwentarza, inni szukali wody, jeszcze inni zaglądali do pobliskich budynków, czy przygotowywali jakieś posiłki. Sołtys Bal, z racji swego stanowiska na Łukowcu, czuł się nadal odpowiedzialny za repatriantów. Już następnego dnia rano, gdy transport powoli zaczął się budzić, skrzyknął repatriantów i poinformował, że niedaleko znalazł ładną, wioskę, z

płynącą przez jej środek rzeczką i „będzie gdzie len moczyć”. Zapropował wymarsz na zachód. Ruszyła więc cała masa ludzka na Lipnicę, gdzie znalazło swoje miejsce najwięcej rodzin z tego transportu. Oczywiście jakaś część ludzi z tego transportu osiedliła się i w innych miejscowościach takich jak: Słup, Domaszków, Chomiąży, Lubiąż czy Malczyce. Jednak Lipnica, zgodnie z sugestią Bala, została cała zaludniona przez łukowian. Kiedy o to zasiedlenie zapytałem panią Janinę Burdzy, mieszkankę Lipnicy, odpowiedziała: „Wszystko ruszyło na Lipnicę poszyliśmy i my, ale nasza rodzina to była mama i czworo drobnych dzieci, ja miałam siedem lat. Ciągnąc krowę i mały wózek z dobytkiem, dotarliśmy do wsi na samym końcu, gdy wszystkie lepsze domy już pozajmowano. Nie mieliśmy sił na dalsze poszukiwania. Ulokowaliśmy się w jednym z gorszych domów, na początku Lipnicy i jeszcze na dodatek mieszkało w nim bezdzietne niemieckie małżeństwo. Ojciec nasz był w wojsku i wrócił dopiero po roku. Kiedy zaczęło się nam trochę lepiej układać, zabrali go do więzienia za przynależność do nielegalnej organizacji „Orła Białego”.

Kiedy pierwszy raz odwiedziłem Lipnicę, popatrzyłem dookoła i zapytałem: A gdzie ta słynna rzeczka Bala? Czy tu była jakaś rzeczka? W odpowiedzi usłyszałem: „A rzeczka... rzeczka jest – tylko na odcinku wsi płynie pod ziemią”. A Kazik Furtak dodał: „Patrz, życie się zmieniło i już im moczenie lnu nie było potrzebne”.

Cacaj Józef - (sołtys Łukowca Wiszniowskiego) skazany na 25 lat łagrów

Aby więcej dowiedzieć się o tym człowieku, pojechałem do Chomiąży, gdzie żyje jego najmłodsza córka Anna. Usłyszałem, że rodzina Cacajów nie pochodziła tak jak większość łukowian z rzeszowskiego, lecz była typową rodziną kresową. Tylko żona Józefa Cacaja była łukowianką. Pani Anna Łuczyszyn przekazała mi, że ojciec miał brata we wsi Antonówka, usytuowanej po drugiej stronie Dniestru i oddalonej od Łukowca o kilkanaście kilometrów. Rodzice poznali się w Ameryce i tam się pobrali. Po powrocie do Polski osiedlili się na Łukowcu. W Ameryce urodziła się najstarsza siostra pani Anny, która tam została. Byłem tym faktem zdziwiony i nawet zapytałem, czy tam mieli jakąś rodzinę? Pani Anna odpowiedziała że nie. Zostawienie dziecka w Ameryce wydawało mi się co najmniej dziwnym posunięciem. Dopiero po tygodniu sprawę tego dziecka wyjaśnił mi pan Grzegorz Woś, mówiąc, że ja to źle zrozumiałem. Oni z dzieckiem przyjechali do Polski, ale ta dziewczyna, jako dorosła, pojechała do Ameryki i tam już została. Przyszła na świat w Ameryce i z racji urodzenia miała obywatelstwo amerykańskie. Pani Anna Łuczyszyn przekazała mi też, że tato (Cacaj Józef) bardzo chciał mieć syna. Jednak los splotał mu figla i miał pięć córek. Pani Anna wyjaśniła również, że mama, jeszcze przed wojną, miała dosyć tego ciągłego nachodzenia ojca w domu przez petentów. W końcu

wynajęli ojcu pokój w budynku Kasy Stefczyka i tam na piętrze urzędował. Edward Polak w swojej książce „Los Polaka” napisał, że Józef Cacaj został skazany na karę śmierci przez radziecki sąd wojskowy za: „Współpracę z Niemcami, dostawy nałożonych na wieś kontrybucji i wydanie Żydów”... Dodał też, że kara śmierci została mu zamieniona na 25 lat łagrów. W efekcie sołtys Cacaj przyjechał do Polski jako jeden z ostatnich repatriantów. Rodzina pojechała po niego na Łukowiec, gdyż tam tylko mógł wrócić z Syberii po odwilży w 1956 roku. Niekiedy władze radzieckie robiły ludziom trudności z wyjazdem do Polski, żądając różnych dokumentów i zaświadczeń, co powodowało, że spora część Sybiraków musiała czekać na pozwolenie wyjazdu całymi miesiącami. Z powodu braku tych papierów sołtys Cacaj nie mógł wyjechać z Syberii do Polski, lecz jedynie na Łukowiec. Wrócił do swojego domu, w którym mieszkali już od wielu lat Ukraińcy. Nowi gospodarze, jego domu, przyjęli go bardzo dobrze, choć był ciężko chory. Z tego co słyszałem, to nawet dobrze się nim opiekowali. Na Łukowiec przyjechali po niego – żona, córka Zofia oraz zięć Piotr Król – zastępca komendanta Bazy Topór. Myślę, że „Piorun” jeszcze raz wykazał się nieprzeciętną odwagą. Wracając do zapisu dotyczącego wydania Żydów – zacząłem pytać, o co tu chodziło. Najbardziej sensowną odpowiedź usłyszałem od pana Józef Mokrzyckiego: Twierdził on, że było takie zdarzenie: Niemcy przyjechali

do sołtysa Cacaja z zadaniem przygotowania na jutro rano kilku wozów. I sołtys polecenie wykonał – bo przecież musiał. Przyjechali rano i kazali podjechać tymi wozami pod dom na Łukowcu, gdzie przebywało kilka żydowskich rodzin. Kazali się Żydom na te wozy załadować i wywieziono ich do getta. Ale Cacaj z tym przetransportowaniem Żydów nie miał więcej nic wspólnego i nawet nie wiedział po co Niemcom były te wozy. Słyszałem też, że tych Żydów wywieziono za Łukowiec i rozstrzelano. Niestety nie mogę na ten temat spekulować, nie znając faktów. Dla mnie ten człowiek był bohaterem na równi z sołtysem drugiego Łukowca - Janem Balem. W czasie wojny obaj sołtysi starali się oddawać kontyngenty Niemcom. Chodziło o to, żeby ich nie drażnić, a nawet próbowano ich mieć po swojej stronie. To w jakimś sensie na Łukowcu się udawało. Wracając do sołtysa Cacaja. Najbliższa rodzina przywiozła go z Łukowca w bardzo ciężkim stanie. Był częściowo sparaliżowany. Zamieszkał w Rzeczy i tam też zmarł po kilku miesiącach.

Gdy pojechałem do Rzeczy, gdzie mieszka jego wnuczka, w pewnym momencie zapytałem; czy jestem w domu w którym ostatnie miesiące życia spędził Józef Cacaj – Jego wnuczka, odpowiedziała, że dom ten znajduje się w środku wsi i mieszka tam jej syn.

Gienia Kantor –poszła do łagru za matkę

W książce Edwarda Polaka „Los Polaka w latach 1939-1956” str. 110

czytamy: „Genowefa Kantor, wiek 17 lat, dobrowolnie podejmuje karę za staruszkę matkę, u której w domu była ukryta broń partyzantów. Otrzymuje wyrok 10 lat ITL” (Poprawczego Obozu Pracy)”. Wiemy o niej, że wywieźli ją do jakiegoś obozu w pobliżu Magadanu. Miasta, o którym można powiedzieć, że jest na końcu świata. Nad Morzem Ochockim i na wysokości geograficznej - Sank Petersburga. Któregoś dnia zabrano ją z tego obozu i została wyrzucona w Magadan na ulicy. Tak jak stała. Kiedyś na jej temat rozmawiałem z moim kuzynem Markiem Burdzym z Mieczkowa. Mieliliśmy nieco odmienne informacje. Marek w pewnym momencie powiedział: „Ona tu była tu w naszym domu. Siedziała na krześle, gdzie ty teraz siedzisz i opowiadała. Wywieźli ją z obozu samochodem i wyrzucili na ulicę bez żadnych wyjaśnień. Nie wiedziała gdzie jest, który jest rok. Nawet nie wiedziała - czy wojna się już skończyła. Po prostu zrzuciono ją jakby z kosmosu spadła na Ziemię. Płakała, po pewnym czasie podszedł do niej jakiś człowiek i pyta: „Czemu płaczesz i kim jesteś?”. Mówiła, że jest Polką z obozu, że ją wyrzucono z samochodu w środku miasta. Człowiek ten po namyśle powiedział, że tu przyjechał do pracy z Rosji. Jest sam, ma małe mieszkanie. Jak się nie boi, to może z nim iść do jego domu: „Dam ci coś do zjedzenia, a jutro pójdziemy do urzędu, żeby zapytać - co z tobą zrobić?”

Wiem, że wyszła za tego człowieka za mąż i że kiedyś odwiedzili Polskę. Byli w Wyszomierzu na Pomorzu

Zachodnim i w Mieczkowie, w powiecie średzkim, gdzie osiedliła się Gieni rodzina.

Dziuba Kazimierz (sekretarz gminy)- bronił ludzi przed Sybirem

Na Łukowcu pełnił funkcję Sekretarza gminy i za Ruskich i za Niemców. Syn Józef mówi: „Tato za Niemców był jakby wtyczką AK – ciągle jeździł na jakieś spotkania, gdyż on miał wiedzieć co się dzieje we wsi i wokół niej. Mama mu te wyjazdy odradzała: „Nie jedź, jak nie musisz. Nie pchaj się”. - Ale on odpowiadał, że właśnie musi tam być. Już za Ruskich jako sekretarz gminy robił wszystko, żeby komuniści wysłali jak najmniej ludzi na Sybir. To dzięki jego staraniom Edwarda Polaka – oficera wojska polskiego - Ruscy nie wywieźli w 1940 roku na zatracenie. Pan Kazimierz Dziuba miał ukończone 7 klas, co na przedwojenne uwarunkowania kresowej wsi, było już jakimś wykształceniem. Był ojciec jak twierdzi pan Józef, raczej urzędnikiem niż rolnikiem. Ziemi miał mało, był też inwalidą wojennym – miał krótszą nogę i z tego tytułu otrzymywał kilkadziesiąt złotych renty. Pomimo defektu był rzutki i pełen pomysłów. Jego brat Staszek, rzeźbił z alabastru ptaki, ojciec mu w tym przedsięwzięciu pomagał. Robił też płótno na oprawy introligatorskie do książek. Jako sekretarz gminy musiał niekiedy wyznaczać ludzi na roboty nawet do Niemiec”. Raz, jak mówił pan Józef, chodziło o wyznaczenie 10 osób na roboty do Rzeszy. Ojciec robił to, próbując uzgadniać ile tylko się da z ludźmi.

Ale i tak jakieś pretensje do niego były. Jak Ruscy przyszli ponownie w 1944 r., wydawało się, że będzie wszystko dobrze. W końcu jednak skojarzyli, że jako sekretarz gminy wiedzieć musiał wszystko, a do nich nie doniósł – konsekwencją był Sybir. Łagry przeżył – jednak w trakcie starań o wyjazd do Polski zmarł w Karkaralińsku koło Kagandy 28 lipca 1956 roku. Jego żona Stefania z domu Skoczyłas przeżyła 102 lata. Rodzina Skoczyłasów pochodziła spod Łańcuta ze wsi Węgliska. Otrzymałem od pana Józefa dwa listy, jakie ojciec napisał do rodziny z Kazachstanu, są warte przeczytania (zamieszczam je w załącznikach do niniejszych Zeszytów Łukowieckich). A tak na marginesie – czy żona pana Kazimierza – Stefania nie zasługuje także na miano bohaterki?

Kućma Stanisław – pseudonim „Strzecha” , dowódca oddziału kosynierów

Pani Marysia, mieszkanka Lubina, jest córka Stanisława Kućmy. Urodziła się na Łukowcu w 1934 r., wcześniej mieszkała w Mieczkowie w powiecie średzkim. Pewnie nie trafiłbym do niej nigdy, gdyby nie fakt, że jej mąż, Marian Kowalczyk, z zawodu ślusarz - był kolegą mojego brata. Znałem się z nim na tyle, że odwiedził mnie kilka razy w domu, a i ja też kilka razy zaglądnąłem do ich mieszkania. W końcu był ożeniony z łukowianką i rozmowy na tematy kresowe nic mu nie przeszkadzały. W naszych relacjach rodzinnych jest tak, że ja znam najlepszych kolegów mojego brata i też brat zna kilku moich

najlepszych kumpli. Wiedziałem, że pani Marysia jest z Łukowca - jednak dopiero w 2016 roku uświadomiłem sobie, że jest to córka Stanisława Kućmy, który został wymieniony w artykule prof. Grzegorza Mazura w grupie 12 dowódców Łukowca. Moją wizytę postanowiłem też wykorzystać na pytania o warunki życia jej rodziny na Łukowcu. Rozmowę zacząłem właśnie od tego. Przede wszystkim pytałem ile mieli ziemi na Wschodzie. Pani Marysia powiedziała, że trzy i pół morgi i jakiś kawałek lasu. Na pytanie o dom mówiła: „Mieszkaliśmy w wagonie zaadoptowanym przez ojca na dom. Wagon był duży, a wewnątrz wygodne i dostosowane do naszych potrzeb. W domu z dwójką dzieci (ja i siostra) nie czuło się niedostatku. Ojciec był szewcem i jednocześnie dorywczo pracował na kolei i w młynie. Mama natomiast miała maszynę do szycia i obszywała sąsiadów. Właściwie rodzice w polu nie pracowali. Ziemię obrabiali inni ludzie w zamian za uszyte koszule, spodnie czy zrobione buty. Dom był rozśpiewany, mama grała na pianinie i mandolinie, i należała do chóru kościelnego”. Wspominała, że ojciec przygotował już materiały pod budowę domu – kupił drewno, zainstalował trawersy, jednak przyszła wojna i pokrzyżowała jego plany. Na sytuację rodzinną miała też wpływ siostra mamy, która przebywała w Ameryce. Pracowała w fabryce chusteczek, była samotna. Często przesyłane paczki z odzieżą i różnymi materiałami poprawiały znacznie nasz byt. Ciocia, po przejściu na emeryturę zamierzała do nas przyjechać na

Łukowiec. Podjęła już pewne starania. Nawet pytała w listach mamę czy spieniężyć to co zgromadziła, czy też przywieźć jak najwięcej różnych rzeczy. Kiedy wydawało się, że wyjeżdża – nagle zmarła”. Mieli informację, że jak przyjedzie to, w ślad za nią będą dochodzić jeszcze jakieś paczki. Niestety, po jej nagłej śmierci nic nie przyszło. Pani Maria wyjaśniła, że ostatecznie spadek po cioci otrzymali dopiero w latach 50-tych czy 60-tych. Był on jeszcze podzielony na kilka osób a przelicznik dolarowy zrobił swoje. Zrozumiałem, że było to około 30 000 zł., czyli 10 - 15 pensji jakie ludzie otrzymywali w tamtym okresie. Pani Maria opowiadała: „Rodzice chowali króliki – miały one swoją osobną zagrodę i było ich bardzo dużo. Był to chów taki trochę na pół dziko. Wspominała dziury, z których one wylaziły, by się najeść czy pobiegać. „Tego mięsa króliczego i pasztetów to mieliśmy po prostu za dużo. Ojciec kupił też kotną królicę - angorę, którą przez jakiś czas trzymaliśmy w domu ze względu na jej bezpieczeństwo. Mieliśmy też świnki i dwie krowy. Moim obowiązkiem było wyganianie krów na pastwisko. Była to dla mnie udręka – wspomina. – Wstawałam rano i wyganiałam je na gromadzkie pastwisko, a sama wracałam do domu i szykowałam się do szkoły”. Kiedy mówiłam pani Marysi, że dokumenty wskazują, że jej ojciec był na Łukowcu dowódcą oddziału kosynierów, stwierdziła, że kojarzy fakt kontaktów ojca z Edwardem Polakiem. Nawet po powrocie z Syberii ojciec spotkał się z nim kilka

razy. Niewątpliwie Stanisław Kućma też zasługuje na naszą wdzięczną pamięć.

W wypowiedzi pani Marysia padło też kilka niecodziennych stwierdzeń, które w pewien sposób charakteryzują mentalność ówczesnych ludzi oraz ich ocenę tego, co się działo przed wojną w czasie jej trwania, a nawet po jej zakończeniu. Na przykład stwierdzenia: „Niemiec zastrzelił, a Ukraińcy męczyli”. „Z Nowoszyn Polacy uciekli bo tam były diabły”.

Wspominała, też, że do kościoła w Łukowcu przywieziono kiedyś 13 ciał partyzantów. Najprawdopodobniej wpadli w pułapkę zastawioną przez Banderowców. Byli to partyzanci, którzy pojechali do Bukaczowiec w ramach ochrony. Ich umęczone twarze były pozbawione oczu. Leżeli w prowizorycznych trumnach. Ludzie przyjeżdżali, rozpoznawali bliskich i zabierali ich ciała.

Nawiązywała też do losów niektórych krewnych. Wspominała, że jeden Turek zakochał się w córce stryja i chciał się na Łukowcu przechować. Ojciec jednak stanowczo na to nie pozwolił.

„Brat ojca, Franek, uciekł ze Stryja do Sokala i tam na dachu domu, gdzie próbował się ukryć, dopadli go Ukraińcy i go zabili”. „Wujka Janka, drugiego brata ojca, wywieźli Niemcy na roboty - wrócił do kraju, zajął po wojnie ładny domek, obok była mleczarnia, ludzie z Centralnej Polski wywieźli z tej mleczarni wszystko”. „Przyjechaliśmy do Środy Śląskiej i goniliśmy dwie krowy do Mieczkowa. Zwierzęta ledwie szły. Po drodze, w Zabłociu, Skowron Władek zatrzymał

nas i zaproponował odpoczynek. Zagonili krowy do stajni, nakarmili je i pookrywali. Potem jeszcze ojciec z panem Skowronem pilnowali je przez całą noc.

Autokarem na Łukowiec

Pierwsza nasza wycieczka na Kresy miała miejsce w maju 2017 roku. Oczywiście punktem kulminacyjnym była wizyta na Łukowcu. Wszystko co zobaczyliśmy, po przekroczeniu granicy, było ciekawe i wyzwalało w nas ogromne emocje. Już Lwów, który zwiedziliśmy na początku, uświadomił nam swoją niezwykłą i jakże bliską przeszłość. Najpierw zwiedziliśmy katedrę greckokatolicką. W środku kilka obrazów przedstawicieli hrabiowskiego rodu Szeptyckich. Boczny ołtarz w katedrze z polską flagą, zdjęciem i relikwiami Jana Pawła II. Po wyjściu z katedry zapytałem przewodnika (pracownika naukowego lwowskiej politechniki), czy to prawda, że we Lwowie znajduje się połowa wszystkich zabytków Ukrainy? Potwierdził ten fakt mówiąc, że we Lwowie jest ponad cztery tysiące zabytków. Gdy stwierdziłem z niedowierzaniem, że przecież Lwów jest dopiero siódmym co do wielkości miastem na Ukrainie, dodał, że w czasie wojny miasto stosunkowo mało ucierpiało.

Kolejne zabytki, które zwiedziliśmy to: Katedra Łacińska, Katedra Ormiańska, Kaplica Boimów, Rynek, Teatr Lwowski, kamieniczki w rynku i Prochownia oraz Cmentarz Łyczakowski. Cmentarz ten składa się z dwóch części, jednej gdzie chowani byli mieszkańcy Lwowa o wysokim

statusie społecznym i drugiej przeznaczonej dla obrońców Lwowa i Kresów południowo-wschodnich z 1918-1920 roku. Groby Obrońców Lwowa robią niesamowite wrażenie. Jest ich prawie trzy tysiące. Szczególną uwagę **przykuwała kwatera Orląt lwowskich** gdzie pochowane są dzieci szkolne i młodzież walcząca w obronie miasta. Dowiedzieliśmy się także, że Cmentarz Obrońców Lwowa w 1971r. został zlikwidowany - Rosjanie wjechali czołgami i zrównali go do żywej ziemi. Nie uległy tylko zniszczeniu w tej części cmentarza wielkie kolumny (pylony) pomnika chwały. Potężne liny czołgowe wryły się w nie na głębokość około trzydziestu centymetrów, dalej jednak czołgi nie dały rady i te blizny po próbie zwalania kolumn pozostały. Części cmentarza przeznaczono na drogę asfaltową a na katakumbach otworzono zakład kamieniarski. Gruz z płyt nagrobnych posłużył do budowy pomnika Lenina we Lwowie. W okresie pierestrojki pracownicy polskiej firmy „Energopol”, budujący elektrownię atomową w mieście Chmielnicki, zaczęli w sposób półlegalny porządkowanie terenu cmentarza. Jednak dopiero w 2001 roku podpisano porozumienie w sprawie odbudowy nekropolii. Otwarcie odnowionego cmentarza nastąpiło w 2005 roku, przy udziale głów państwa polskiego i ukraińskiego i przedstawicieli kościołów greckokatolickiego i rzymsko-katolickiego. Proces renowacji a nawet samego jej projektu był bardzo trudny z powodu

warunków stawianych przez stronę ukraińską. Ukraińcy nie akceptowali starych napisów i także życzyli sobie usunięcia niektórych elementów wystroju cmentarza (lwy, figurki na cmentarzu lotników amerykańskich, szczerbiec na pomniku „Pięciu z Persenkowki” itp.).

Sama renowacja nie sprawiała wielkich trudności, ponieważ Polacy mieli cmentarz zinwentaryzowany w najdrobniejszych szczegółach, toteż z odtworzeniem miejsc grobów poszczególnych żołnierzy, alejek i innych punktów nekropoli nie było większych problemów.

Wzruszające chwile przeżyliśmy też nad grobami powstańców styczniowych – kilkanaście mogił bardzo skromnych – na każdej chorągiewka z tasiemką białą – czerwonych i tabliczki z nazwiskami. Nazwisko ich dowódcy - Kalita. Był tu kiedyś napis: „Niech z naszych kości powstanie mściciel”. Nasza przewodniczka mówiła, że leżący tu powstańcy polegli w nierównej walce. Smutną atmosferę próbowała ratować komentarzem: „Kiedyś młodzież była inaczej wychowywana. Młodzi ludzie byli gotowi do złożenia ofiary życia dla Ojczyzny”.

Wjazd do Żórawna uświadomił nam, że Łukowiec jest już bardzo blisko. Wysiedliśmy z autobusu, a już za chwilę ktoś krzyknął, żeby jednak wsiadać, bo pojedziemy za konnym wozem, który właśnie jedzie w kierunku Łukowca. Po dziesięciu minutach jazdy wóz się zatrzymał. Kierowca wyszedł do rolnika, a gdy wrócił okazało się, że dalej musimy jechać sami, bo rolnik zostaje na

swoim polu. Mieliśmy jechać prosto i po 2-3 km dotrzeć do mostu na Dniestrze, a za mostem już prosta droga na Łukowiec. Po chwili znaleźliśmy się nad rzeką. Dniestr był niezwykle urokliwy i pełen wody. Jeden z kierowców wysiadł, by sprawdzić czy most wytrzyma napór autokaru. Na szczęście wydawał się być w porządku! W dali majaczyły z rzadka domy, a bliżej, za rzeką, zobaczyliśmy wielką, porośniętą lasem, górę Bakocyn. Przed wojną pozyskiwano z niej alabaster oraz kamień szary i biały.

Wszyscy byliśmy pod wrażeniem tego widoku. Ludzie zaczęli ogarniać wzrokiem każdy metr czarnej jak smoła ziemi. Zaczęli dostrzegać żłeby, drzewa, pagórki. Raz po raz słyszało się westchnienia zachwytu. Ktoś zauważył: Łączka, zobacz... zobacz... jaki spad, co to są te rowy? Ktoś inny objaśniał, że tymi żlebami woda spływa z góry po deszczach. Emocje potęguje przewodniczka, odczytując fragmenty opisu Łukowca z pierwszego Zeszytu Łukowieckiego, autorstwa Janiny Szulc.

Zatrzymaliśmy się obok kościoła w Łukowcu, gdzie czekał już na nas kościelny. Najpierw chcieliśmy zobaczyć świątynię. Utrzymana w dobrym stanie, po 1945 została przekształcona w cerkiew, a gdy Ukraina uzyskała niepodległość cerkiew zamieniono na kościół greckokatolicki.

Weszliśmy do wnętrza, kościółek nie jest duży. Po Polakach pozostał: chór, ambona, dwa obrazy w bocznych ołtarzach. Zastanawialiśmy się czy ławki pamiętają naszych ojców i

dziadków. Na chór do dzisiaj wchodzi się wyjątkowo wąskimi drewnianymi schodkami, tak dookoła słupa i jest w tym wchodzeniu coś niezwykle urokliwego. Na chórze w okresie Polski były organy, a teraz ich brak. Ksiądz wyjaśnił, że zostały zabrane do Bukaczowiec. Jak się tu Ukraińcy osiedlali, delegacja tam pojechała, ale okazało się, że powędrowały dalej i nie sposób było ich wtedy szukać. Zapytałem kościelnego, czy osiedlili się tu Ukraińcy czy Łemkowie? Wyjaśnił, że Ukraińcy spod Sośnicy i kilka rodzin z okolic Sanoka. Dodał również, że Łemkowie przyjechali później, dwa lata po nich. Byłem zadowolony z tego wyjaśnienia, gdyż kilka razy sugerowano mi, że na Łukowcu osiedlili się też Łemkowie. Dziś wiem, że na pewno Ukraińcy.

Przed wyjazdem na Łukowiec rozmawiałem z panem Grzegorzem Kuświkiem, który był tam wcześniej i zobowiązał mnie do odwiedzenia księdza grekokatolickiego. Ksiądz przyjął nas w swoim domu nadzwyczaj sympatycznie. Była kawa, ciasto i ukraiński barszcz. W pewnym momencie przyniósł nawet koniak, który jak stwierdził, czekał już kilka lat na dobrą okazję i ta okazja właśnie się teraz nadarzyła.

Gdy ofiarowałem księdzu 50 dolarów na potrzeby świątyni - wyciągnął księgę mszalną i zapytał o intencję. Szybko odpowiedziałem, że za mieszkańców Łukowców, którzy tu kiedyś żyli i też za tych, którzy teraz tutaj mieszkają. Miałem jeszcze jedną specjalną prośbę do księdza. Chodziło mi o stare przedmioty, podobne do tych na wystawie w Środzie Śląskiej.

Chciałem też dostać kilka brył alabastru, wielkości ludzkiej pięści, z miejsca, gdzie wydobywano go przed wojną. Mówiłem po polsku z rosyjskimi wstawkami ale ksiądz nie bardzo mnie rozumiał. Dopiero gdy wyciągnąłem swoje Biuletyny ze zdjęciami eksponatów, wszystko okazało się jasne. Mówił, że na poczekaniu nie da się tego zrobić, ale będzie się starał.

Zostawiliśmy dwa pierwsze numery Biuletynów i poszliśmy do kościoła. Jeszcze w domu, ksiądz napomynał o kosztownym remoncie dachu. Zapewniłem go, że jeszcze dziś uruchomimy składkę.

Oczywiście w wędrowce po Łukowcu nie można było ominąć słynnego stawu, jednego z ważniejszych punktów wsi. Może nie miał on znaczenia strategicznego, za który uważano np. Krzyżowe Drogi, ale był miejscem ważnym dla łukowian. Tutaj młodzież uczyła się pływać, ludzie tu odpoczywali, łapali ryby a nawet polowali na kaczki. Tutaj również zatopiono dzwon kościelny, by nie dostali go ani Niemcy ani Ukraińcy.

Dziś znaleźliśmy staw mocno zarośnięty i podobno mniejszy niż przed wojną. Ma około 150 do 200 metrów długości i 70 do 100 metrów szerokości, ale przecież to ten sam staw. To tutaj przypadkowo postrzelono śmiertelnie syna Jakuba Burdzego, który uczył się na księdza. Część wycieczkowiczów, która poszła na Łukowiec Żurowski, została zaproszona do szkoły. Pracujące tam panie podały kawę, jakieś przystawki i zapewniły, że gdyby wiedziały o naszym przyjeździe, to by zrobiły

również obiad. Nie było mowy o zapłacie, nasi jednak honorowo zrobili i tam zrzutkę, dla dzieciaków na cukierki.

Kiedy już autobus był gotowy do odjazdu, poprosiliśmy o datki na kościelny dach. Zebraliśmy 500 hrywien, 200 lub 300 zł i 3 dolary. Zważywszy, że była to już 5 lub 6, składka, czy można chcieć więcej? Cała suma została przekazana zaraz kościelnemu.

Właściwie wszędzie gdy proszono o pomoc, potomkowie łukowian nie skapili.

W jednym z kościołów poprosił o wsparcie polski ksiądz. Gdy zaczęliśmy wyciągać pieniądze, zaznaczył, by nie dawać monet jednodolarowych, bo nie ma co z tym zrobić. Następnie wyciągnął zestawy kartek (widokówek) i zaczął je stosunkowo tanio sprzedawać – po 35 hrywien za komplet. Podałem mu 50 hrywien, próbował wydać resztę, której oczywiście, nie chciałem.

W innym dużym kościele, oddanym Polakom, o pomoc poprosił stary kościelny. Dając datek powiedziałem: „Proszę wziąć połowę tych pieniędzy z datków także dla siebie!” Staruszek aż się zachnął, a ja dodałem: „Przecież Kościół to nie tylko te mury to także i wierni. Pan też jest jego częścią”. Usłyszały to dwie panie z naszej wycieczki i mocno mnie poparły, dodając: „To jest słuszne, tym bardziej, że pan mówił o chorej żonie. Podpisujemy się pod tym czterema rękami” – wsparły mnie w perswazji.

Ręka noga mózg na ścianie!

W Drohobyczu, kościelny, starszy pan, mówił: Chrześcijanie niszczyli

miejsca kultu pogańskiego. Budowali też kościoły, niekiedy tam gdzie stały pogańskie świątynie i posąжки. Paganie odpłacali się tym samym - palili świątynie chrześcijańskie. Kiedyś w jednym z kościołów wmurowano w ścianę kawałki z rozbitego pogańskiego posąжка, tak trochę przypadkowo była tam dłoń bożka, głowa i kawałek nogi. Okazało się, że poganie widząc fragmenty swojego bożka w ścianie kościoła, nie ośmielili się go niszczyć. Wykorzystali to chrześcijanie i zaczęli wmurowywać w ściany nowo budowanych świątyń kawałki z porozbijanych pogańskich posąжków. Ten sposób ochrony świątyń musiał się mocno zakorzenić, skoro kościół rzymskokatolicki w Drohobyczu z XIV wieku także skorzystał z tego typu zabezpieczenia. Również w języku polskim zagościł na stałe zwrot: „**Ręka noga mózg na ścianie**”, Wypowiedzenie tych słów równało się przysiędze czy gwarancji, że ustalenia czy dane słowo jest niepodważalne.

PODSUMOWANIE

Atmosfera wycieczki była więcej niż dobra. Mieliśmy świadomość wspólnoty, która nas łączy i która łączyła naszych ojców. W kilku przypadkach dały się też ustalić jakieś pokrewieństwa czy powinowactwa łączące ludzi. W ostatnim dniu pobytu któraś z panie w średnim wieku głośno stwierdziła: „**TO WŁAŚCIWIE MY WSZYSCY JESTEŚMY RODZINĄ**”. Ktoś inny zauważył: „Patrz ona się dopiero teraz zorientowała”. No oczywiście, że nie wszyscy jesteśmy rodziną, ale i ja podszedłem w pewnym momencie do księdza o

nazwisku Marut Julian, (starszego pana, który jechał z nami) i zapytałem czy w Kanadzie na Wyspie Księcia Edwarda ma rodzinę? Bo kiedyś przyjechali do nas stamtąd krewni o takim nazwisku i odwiedzili Sobalów, Marutów i Burdzych”. Usłyszałem: „To był mój brat stryjeczny”.

Zauważyłem, że przeciętny Polak czuje się we Lwowie dobrze. Na każdym kroku spotyka się historię. Choć miasto było wielonarodowe i na dzisiejszy obraz Lwowa wpływ miało wiele nacje: Rusini (Ukraińcy), Żydzi, Niemcy, Ormianie, Węgrzy, Wołosi, to jednak przez większość swego istnienia dominowali tu Polacy. Polskich turystów jest bardzo dużo. Brak napisów informacyjnych w języku polskim ale i w języku angielskim czy niemieckim jest pewnym utrudnieniem w zwiedzaniu miasta. Ta trudność powinna być usunięta, choćby w zbliżonym zakresie na jaki nas Polaków stać w stosunku do turystów niemieckich odwiedzających Wrocław.

Podczas pierwszej wycieczki naliczyłem aż sześć pieniężnych składek. Nie usłyszałem też od nikogo słowa zniecierpliwienia, chociaż tak naprawdę otrzymaliśmy informację od naszej przewodniczki, że każda osoba powinna wymienić 100 zł na hrywny i to powinno wystarczyć na drobne upominki. Wydawało mi się to bardzo niewiele, jak na cztery dni wycieczkowania.

Sprawdziła się natomiast informacja, że przy zakupach upominków na targowiskach nie ma znaczenia, jakimi pieniędzmi się płaci. Idą wszystkie: euro, dolary, złotówki czy hrywny.

DRUGA WYCIECZKA (maj 2018)

Była troszkę inaczej. Jurand Kopalski uzgodnił, że tym razem dojedziemy autokarem do Żydaczowa i tam przesiądziemy się do ukraińskich busów oraz, że nimi dojedziemy do Łukowca. Mieliśmy się jeszcze zatrzymać w Żurawnie, kupić znicze i kwiaty na groby. Zniczy znaleźliśmy tylko kilka, z kwiatami też było kiepsko. Patrzyliśmy na senne miasteczko, które dzisiaj sprawia wrażenie opustoszałego. Kilka kobiet w rynku sprzedawało nabiał. Jakaś starsza pani pytała dokąd jedziemy. Wyjaśniłem, że do Łukowca. Mówiła, że wie gdzie jest Łukowiec, bo pochodzi z Żurawna. Przekazałem jej, że nasi rodzice i dziadkowie właśnie tam mieszkali przed wojną. Wspomniałem też, że tu w Żurawnie urodził się Mikołaj Rej – ważny dla nas Polaków poeta, w odpowiedzi usłyszałem, że ulica Reja wciąż tutaj jest.

W miarę zbliżania się do celu naszej podróży, pojawiają się emocje. Ludziom podoba się teren. Przewodniczka i tym razem cytuje fragmenty opisu Łukowca z „Zeszytów”. Znów Dniestr, most, las i dojazd do kościoła. Powoli wysiadamy. Widzę księdza – przypominam sobie, że mam dla niego skromny upominek, Chciałbym też porozmawiać z nim przy obiedzie o możliwości pozyskania eksponatów. Okazało się, że będziemy jedli obiad na Łukowcu w szkole. Jurand pomyślał też o potrzebie szybszego przemieszczania się ludzi po wsi w poszukiwaniu śladów ojcowizny. Czekają na nas cztery furmanki.

Powozącymi byli chłopcy z Łukowca. Na dodatek jeden z kierowców busa, który miały na nas czekać stwierdził, że przecież, on też może pojechać gdzie trzeba. Byliśmy więc bardzo mobilni.

Kiedy zacząłem rozmawiać z księdzem, podszedł Jurand i od razu wytłumaczył, że chcielibyśmy tu na cmentarzu umieścić pamiątkową tablicę z lapidarium, w którym można by składać odkrywane przypadkowo szczątki naszych przodków. Ksiądz bez większego wahania odpowiedział: „Ja nic nie mam przeciw temu, ale trzeba na to zgody naszej rady sołeckiej (Siel rady).

W tym czasie pozostali uczestnicy wycieczki witali się z dziećmi, które dość licznie zgromadziły się przy kościele. Były wiersze a nawet piosenki, a potem czas na nasze prezenty - głównie słodyczne. Część wycieczkowiczów poszła na cmentarz a reszta ruszyła do kościoła. Kościół był odświętnie udekorowany. Ktoś nawet stwierdził, że wygląda jak z okazji komunii świętej. Ktoś zapytał księdza czy jest możliwość zamówienia mszy za rodziców, oczywiście nie było przeszkód. Msza miała zostać odprawiona już następnego dnia.

Poszedłem na cmentarz gdyż chciałem zapalić znicz na grobie dziadka pana Kazimierza Furtaka, ale nie znalazłem grobu. Wróciłem i postanowiłem zapalić ten znicz na grobie księdza Potrzebnickiego, ale znicze nie chciały się palić.

Na cmentarzu nie odnalazłem jakichkolwiek śladów po rodzinnych

grobach. Gdy zapytała mnie siostra czy mam jakiś plan zwiedzania Łukowców odpowiedziałem, że nie, ale chciałem pójść do kościelnego, który mieszka nieopodal. Na podwórku krzątała się jego żona. Wyjaśniłem jej, że jestem z polskiej wycieczki, że byliśmy u nich przed rokiem i rozmawialiśmy. Wtedy przypomniała sobie, że kupiłem lampę. Tak, powiedziałem, ale wtedy byliśmy przez panią zaproszeni na kawę. Nie mieliśmy jednak już czasu, czy to zaproszenie jest nadal aktualne? Uśmiechnęła się i zaproszenie potwierdziła. Podałem jej paczkę z kawą i dużą herbatą oraz miętowymi czekoladkami. (Miałem dwie takie paczki jedną dla księdza a drugą dla kościelnego). Zareagowała uśmiechem i stwierdzeniem – „ne treba”. Tymczasem, córka, szczupła, ładna dziewczyna, – nastawiła wodę na kuchni polowej. Usiedliśmy przy stole, zapytałem o kościelnego, bo wyobrażałem sobie, że on zdobędzie dla mnie wiadro kamieni alabastrowych i to wiadro zabiorę do Polski. Kościelny miał się za chwilę pokazać. Poprosiłem więc o herbatę a moja siostra z jej córką Martą o kawę. Rozmawialiśmy w przyjaznej atmosferze. Dowiedzieliśmy się, że córka kościelnego jest mężatką, i że jej mąż pracuje w Polsce w Bielawie. Przy herbacie (była bardzo dobra) zacząłem objaśniać swoje alabastrowe plany, na co pani odpowiedziała, że tam gdzie wydobywano kiedyś alabaster to teraz jest staw. Po jakimś czasie opuściła nas i po chwili przyniosła bryłę o wadze 3-4 kg - mówiąc, że to jest alabaster.

Imponująco nie wyglądał, ale zdałem sobie sprawę, że jest to kamień który, jakby wchodzi już w alabaster. Uznałem, że jest ciekawy i przyjąłem go z wdzięcznością. Po godzinie zorientowaliśmy się, że kościelny może się nie pojawić i zaczęliśmy się zbierać. Poprosiłem jeszcze o pokazanie mi wnętrza domu, który przed wojną należał do Rejmanów. Gospodyni wyraziła zgodę. Dom składał się z dość dużego korytarza i trzech pokoi. Jak na przedwojenne warunki był raczej duży. Z jednej strony domu zauważyłem duże trzyczęściowe okna typu weneckiego, o których wspominała mi pani Władysława Grabowska, córka Józefa Rejmana, obecnie mieszkająca w Stanach Zjednoczonych. Wróciliśmy pod kościół i z Kazikiem Watrasem i jego żoną ruszyliśmy na Krzyżowe Drogi, a stamtąd na drogę prowadzącą do Wiszniowa. Powiedziałem w pewnym momencie Kazikowi, że właśnie tu gdzieś mieszkał jego ojciec i mój dziadek – byli przed wojną sąsiadami. Gdy w rozmowie z jednym z obecnych mieszkańców Łukowca stwierdziłem, że kupiłbym jakieś rzeczy, które zostały po Polakach, jeden z chłopców, około 25 lat, powiedział, że ma dwie stare lampy naftowe, które najprawdopodobniej są z tamtego okresu. Zapytałem, czy mógłby je przynieść i pokazać, zgodził się, po chwili trzymał je w ręce. Były mocno zakurzone.

Zapytałem o cenę. W odpowiedzi usłyszałem: „Ile dasz?” Powiedziałem: „Podaj cenę taką, żebyś był zadowolony?” - Podał - 200 hrywien.

Dałem mu tę kwotę i dodałem 20 złotych. Później dowiedziałem się, że dom z którego przyniesiono mi lampy, przed wojną należał do rodziny Starkiewiczów.

Weszliśmy też na podwórko domu Krawców. Dwa - duże zabudowania. Przed dom wyszła starsza kobieta i poinformowała nas, że przed wojną mieszkała w nim rodzina Krawców. „Jeden z Krawców - Stanisław, profesor z Wrocławia, był tu kilka razy. A raz nawet zaprosił syna do Wrocławia na Politechnikę” – kazała go pozdrowić i zaprosić, bo już z 5 lat nie dawał znaku życia.

Chwilę potem podeszła do nas inna starsza pani. Mówiła, że mieszka w domu, gdzie kiedyś żył sołtys Cacaj. „On tu przyjechał z Sybiru w 1956 roku, bo nie miał papierów na wyjazd do Polski. Przyjechały po niego 3 osoby, żeby go zaraz zabrać, ale Ruscy nie puścili i rodzina odjechała bez niego. Pielęgnowałam go do momentu jak papiery przysły z Moskwy. Wtedy już mógł odjechać do swoich” – wspominała. Słuchaliśmy tego wspomnienia mocno wzruszeni. Przecież Cacaj był już wtedy do połowy sparaliżowany.

Dotarliśmy też do domu Krycińskich. Jest mocno zaniedbany. Przed domem pszczelarz wybierał miód. Z pewną rezerwą, pozwolił nam wejść do środka. Zaraz za nami przed domem pojawiła się rodzina Odrowążów (to dom ich mamy). Gospodarz także wpuścił ich do środka i nawet podarował im słoik miodu.

Później znaleźliśmy się przy lasku, w miejscu o którym mówił Kazimierz Furtak, że stał tu gdzieś dom naszego

dziadka Antoniego Faszynkiedra. Pokazałem siostrze to miejsce i stwierdziłem, że musimy wracać, gdyż zbliża się godzina obiadu. Wówczas podszedł do nas niski i szczupły człowiek i zapytał - czego szukamy? – Odpowiedziałem: „Niczego, tylko tu przed wojna stał dom naszego dziadka”. Zaczął mówić, że jest z Łukowca i tu mieszkał, ale teraz żyje w Stanisławowie. Powiedziałem mu, że w Łukowcu mieszkało dwóch moich dziadków i po ich domach nic już nie zostało. Podobno tylko po zabudowaniach jednego została jakaś piwnica. A mój rozmówca nagle olśniony odrzekł: „Piwnica tu jest, chcecie ją zobaczyć. Zdziwiony pytam: „Jaka piwnica,” A on: „Chodźcie nie bójcie się!” I ruszył jakaś dróżką przy lesie, a my za nim. Nagle ścieżka skręcała w las. Ukraińiec co chwilę odwracał się i powtarza: „Chodźcie dalej, nie bójcie się!” Nagle zatrzymał się przed górką jakby z ziemi. Były schodki w dół. Za nimi drzwi do piwniczki. Otworzyliśmy je i weszliśmy do środka. Piwnica jest długa na 6 może 7 metrów i szeroka na 3 metry z półkolistym sufitem. Ukraińiec mówił: „Tu jest okienko, tu jest wywietrznik”. Piwnica jest czysta. Trudno nam uwierzyć, że to piwnica naszego dziadka. Gospodarz opowiadał: „Ja urodziłem się w 1956 roku. Rodzice wspominali o tym właścicielu, że miał takie dziwne nazwisko. Podpowiadamy: „Faszynkieder” – „Właśnie tak, on miał jeszcze jeden dom oprócz tego tutaj”. Pytam: - „Tu jest jakiś dom?” „No tak tu jest dom – zaraz wam go pokażę”. Trudno uwierzyć tym

słowom zwłaszcza, że każdy kto jechał na Łukowiec informował nas, że po domach Faszynkiedrów nie ma już śladu. Dostrzegam rozbity dzbanek. Podniosłem kawałek, widzę, że jest zrobiony z ciemnej glinki – wykonanie chyba dobre, gdyż ścianki są cienkie i równe. Pytam, od kiedy on tu leży? Ukraińiec nie wie, ale mogę go sobie wziąć. Zbieramy więc możliwie wszystkie kawałki, a potem idziemy w las. Nagle w gąszczu wyrasta budynek. To chyba dom dziadka. Mówię Ukraińcowi: „Wie pan, jedno mi tu nie pasuje. Naprzeciwko domu dziadka po drugiej stronie drogi miał być piętrowy Dom Kasowy, a jest domek parterowy?”. Ukraińiec mówi: „To się wszystko zgadza. Był dom piętrowy ale się spalił. Jak go odbudowywali to jedno piętro zdjęli i został już tylko parter”. Teraz ostatecznie uwierzyłem. Marta zrobiła kilkadziesiąt zdjęć. Szczególnie interesowały mnie ściany. Dom był zbudowany z kwadratowych bali do których przybito listwy – jakby w stylu kratownicy a na to położony jest tynk. Bryła domu jest stosunkowo nowoczesna, choć dom znajduje się w opłakanym stanie. Towarzyszący nam drugi Ukraińiec, za zgodą właściciela, z braku kluczy od kłódki w drzwiach, wrywa skobel i wchodzimy do środka. Pytam o piece. Ukraińiec wyjaśnia, że jego ojciec znał się na piecach i te tutaj przerobił. Piece są w ścianach i są wysokie aż do sufitu. Pytamy, czy obrazy na ścianach są po Polakach? - Odpowiada, że nie wie, ale po Polakach jest szafa i toaletka. W domu tym był sklep i z tego co wiemy, rządziła w nim siostra dziadka

- Henryka Wierzbicka. Przy domu przetrwały jeszcze budynki gospodarcze stajnia i stodoła. Zwiedziliśmy je jako ostatnie. Wyszliśmy z lasu rozentuzjzmowani i uszczęśliwieni. Konsekwencją odkrywania śladów po dziadkach było nasze spóźnienie na obiad w szkole. Dostaliśmy lekką burę od Juranda Kopalskiego, ale lżej się nam zrobiło na sercu, gdy okazało się, że spóźniałskich jest nieco więcej. Jedzenie w szkolnej stołówce było bardzo smaczne. Bardzo dobrze zrobione ogórki i pomidory, a mnie nawet zachwycił smak ziemniaków.

Nasza przewodniczka, pani Regina, która zna lepiej niż my ukraińskie realia, przekazała nam, że młodzież, a szczególnie dzieci, są teraz na Ukrainie takie trochę opuszczone. Dorośli walczą o każdy grosz, sytuacja polityczna nie sprzyja normalności. Ukraińcy mają żal do Rosjan, że zgotowali im wojnę. Powiedziała też, że dawniej we Lwowie ludzie mówili więcej po rosyjsku niż po ukraińsku, czasem też się uśmiechali, gdy na targowiskach przyjezdni z podlwowskich wsi mówili po ukraińsku. Dzisiaj, na znak protestu, nikt po rosyjsku nie mówi. Wszyscy starają się rozmawiać po ukraińsku.

Kiedy opuszczaliśmy Łukowiec, zapytałem Reginę: „Jak to wszystko widzisz?”. Odpowiedziała: „Dobrze, mam wrażenie, że ludzie są zadowoleni. Prawie każdy coś tu od Polaków dostał albo zarobił na jakiejś wymianie”.

Z racji odkrycia domu dziadka Antoniego, wyjeżdżaliśmy z Łukowca

ogromnie zadowoleni. Nie wszystkim się jednak poszczęściło. Przekazano nam, że Pani Janina Pietrzak (Siekierska) nie odnalazła swojego domu. Kazik Watras zobaczył tylko „miejsce”, na którym mógł stać kiedyś dom jego ojca. Szczęście miała natomiast pani Władysława Łuczyńska, która wyjechała za Łukowiec i dotarła do swojej wioski Dąbrowa - Kolonia Żaki i zwiedziła też kościół w Tomaszowcach. Także Jurand Kopalski znalazł dom swoich dziadków.

Wspomnienia łukowian

Na śniegu

(wspomina Kazimierz Furtak)

Moje pierwsze narty zrobił mi ojciec jak miałem 7-8 lat. Nieco później, jak podrosłem, zrobił mi nowe większe. Miałem też łyżwy drewniane. Były zrobione z grubej deski - tak do 3 cm, dołem szedł drut dość gruby, zaostrzony na końcach i zagięty tak, że te zaostrzone końce wbijało się w deskę z obu stron. Drewniana część łyżwy była wyprofilowana tak, żeby nie było krawędzi hamujących. Gdy dzieciak dobrze nie umiał jeździć, dawało się dołem dwa druty i wtedy z utrzymaniem równowagi nie było kłopotów. Łyżwy były przyczepiane do buta dwoma paskami a niekiedy i trzecim za stopą”. Utkwił mu w pamięci obraz dzieci jeżdżących na łyżwach po lodzie czy zbitym śniegu. Dzieci trzymały oburącz między nogami kij od żaren i odpychały się nim.

*Wezwali pomoc krótkofalówką
(wspomina Ludwik Sobala)*

W 1944 r., gdy Rosjanie doszli do Dniestru, na krótki czas zatrzymali się i przez tydzień trwała wymiana ognia. Potem sprowadzili jeszcze działa w tym katusze i sforsowali rzekę. Ślady swego pobytu pozostawili zarówno nad rzeką jak i we wsi. Z racji tego, że Łukowiec był blisko, zajęli kilka domów i zrobili sobie na Łukowcu małe zaplecze. (O walkach przy przekraczaniu Dniestru czytałem w pamiętniczku pani Pietrzak, z domu Siekierskiej: „Jedni przychodzili z linii frontu, jedli i kładli się spać, a inni wypoczęci szli na linię frontu. Tak się kilka razy wymienili, a później, gdy sforsowali rzekę, poszli dalej”). Dzieci jak to dzieci - szczególnie chłopcy próbowali coś znaleźć po żołnierzach. Kilku wybrało się nad Dniestr, tam gdzie były jakieś umocnienia, stanowiska artyleryjskie, okopy, licząc na pozostawione czy zgubione przez żołnierzy przedmioty; łuski, hełmy czy menażki żołnierskie. Ktoś znalazł odznakę radziecką czy guzik. Wśród trzech chłopców z Łukowca byłem i ja (mówi Ludwik Sobala). W pewnej chwili zgubiłem się dwójce kolegów i poszedłem w kierunku, gdzie był kiedyś na Dniestrze most, bo został wysadzony przez wycofujących się Niemców. Zrobiono tam przeprawę promową i przewożono ludzi w obie strony. Poszedłem w nadziei, że znajdę kolegów. Jednak ich tam nie zastałem. Próbowałem się wycofać, ale zauważyli mnie stojący przy wozach chłopci ukraińscy i przywołali do siebie. Uznałem, że nie ma co uciekać, bo najprawdopodobniej, gdyby chcieli to by mnie dogonili. Więc podszedłem

do nich z myślą, że nie powinno mi nic zagrażać. Tym bardziej, że stosunkowo niedawno sytuacja polityczna się zmieniła i Rosjanie zajęli te tereny. Jednak Ukraińcy nie okazali się nazbyt przyjaźni. Zapytali mnie skąd jestem. Gdy odpowiedziałem, że z Łukowca - zapytali jak się nazywam a następnie gdy odpowiedziałem, że Sobala, to dopytywali, którego Sobali jestem synem. Odpowiedziałem, że Michała (ojciec mój już nie żył, zginął w wyprawie po żywność). Wtedy Ukraińcy zaczęli mnie straszyć i naigrywać się ze mnie, mówiąc, że zaraz będę w Dniestrze pływał. Zacząłem płakać, jeden z nich powiedział, że może darują mi życie, jak poproszę o to konia. Inny powiedział, że muszę go pocałować w dupę. To wtedy mi darują życie. Jednak inny stwierdził, że wystarczy jak pocałuję go w pysk. I mam powiedzieć: „Koniu, koniu... daruj mi życie”. Podszedłem i wypowiedziałem przez łzy zadaną formułkę a następnie pocałowałem tego konia. W końcu pozwolili mi odejść do domu”. Było to dla mnie jednak przeżycie potworne”. Sobala mówił też, że tak do końca to nie można było zamknąć życia tylko w tych dwóch wsiach. Pamiętał np., że do Żurawna jeździł z wiadrami wiśni, żeby je sprzedać i zarobić parę groszy.

Jego mama miała dwóch mężów pierwszym był Marut a drugim Sobala. Z każdym miała po kilkoro dzieci. Była w domu spora gromadka. Pan Ludwik wspomina: „W 1944 roku brat mój przyrodni -Józef Marut, który był chory, wybrał się do lekarza. Po

wizycie zaczął szukać możliwości powrotu do domu. Dogadał się z żołnierzami rosyjskimi, którzy jechali do swojej jednostki przez Łukowiec, że go zabiorą. W Mołodzieńcach, zepsuł się im samochód. Rosjanie próbowali go naprawić, a gdy okazało się, że to jest niemożliwe, wezwali pomoc krótkofalówką. Brat zorientował się, że do Łukowca jest już tylko kilka kilometrów i zdecydował się iść do domu na piechotę. Więc podziękował żołnierzom i odszedł. Czekający na pomoc żołnierze (było ich 3 lub 4), zostali zaatakowani przez Ukraińców i wszyscy zostali zabici. Kiedy Rosjanie zorientowali się, co się stało, do Młodzieniec przyjechało kilka samochodów z żołnierzami rosyjskimi i podpalamo wieś. Drewniane zabudowania, usytuowane jeden przy drugim, płonęły całą noc. Część wsi poszła z dymem. Jego brat Józef, który był chory na gruźlicę zmarł kilka miesięcy później i został pochowany na łukowieckim cmentarzu.

Życie dostatnie czy skromne?

Posiadanie dużego gospodarstwa rolnego gwarantowało względny dobrobyt. Ale i były inne uwarunkowania dostatniego życia, jak choćby dobry fach czy praca w charakterze leśniczego, kolejarza, stolarza, młynarza, kowala czy urzędnika. Analizując to zagadnienie, nie sposób robić to w oderwaniu od czasów, w których to się działo. Zdumiewa mnie niekiedy opinia, że przed wojną na samochód osobowy robotnik musiał pracować 5 czy 10 lat.

To tak, jakby powiedzieć, że Władysław Jagiełło był biedny, bo nie miał telewizora, roweru a nawet telefonu. W okresie przedwojennym niektóre gałęzie przemysłu dopiero się rozwijały, zarówno w Polsce, jak i w Europie. Nadto Polska była w stosunku do Europy nieco zapóźniona i też wszystkiego było w niej mniej w przeliczeniu na liczbę mieszkańców. Było mniej samochodów, radioodbiorników, traktorów, dróg bitych, torów kolejowych oraz lekarzy i inżynierów. Nawet wydajność z 1 ha była nieco niższa niż w krajach Zachodu. Wynika z tego, że dobrobyt oznacza co innego na różnych etapach ludzkiej cywilizacji.

Marysia Węgrzyn z domu Burdzy, (łukowianka) kuzynka naszego ojca opowiadała: „Było nas ośmioro dzieci. Wychowywaliśmy się bez ojca, bo zabił go Niemiec. Miałam 3 lata, a najmłodszy brat 4 miesiące, reszta dzieciaków niepełnoletnia. Rodzice na Łukowcu mieli jakąś gospodarkę i powoli się dorabiali. Po utracie taty przyszła bieda. Po wojnie nie było lepiej. Gospodarkę dostaliśmy na Pomorzu, ale rodzeństwo było zbyt młode, aby ją prowadzić. Żadnej renty po ojcu mama nie otrzymała. W pewnym momencie mama nie opłaciła jakiegoś podatku. Sołtys to wykazał. Wezwano ją do Trzcianki. Mama miała złe przecucie, pożegnała się z nami, przekazując najstarszym dzieciom różne wskazówki dotyczące prowadzenia gospodarstwa. Byliśmy przerażeni. Na szczęście wieczorem wróciła i nawet przywiozła nam jakieś pieczywo z miasta. Byliśmy jej widokiem rozradowani. Przekazała

nam też, jak zareagował człowiek, który ją przesłuchiwał, gdy dowiedział się, że jest wdową z ośmiorgiem dzieci i że Niemiec zabił jej męża. Przyjrzał się jej papierom i zaczął pomstować na sołtysa. Krzyczał, że: „Takim ludziom jak my, to trzeba pomagać a nie ich wystawiać do ukarania”.

Kiedy zacząłem pytać, jak się żyło na Łukowcu, ludzie odpowiadali na ogół, że dość dobrze, choć niekiedy na przednówku była bieda. Większość wspomnień jest jednak przesłonięte dwoma wydarzeniami: wejściem Rosjan we wrześniu 1939 roku, ich sposobem gospodarowania i likwidacją sklepów. Otwarto w zamian ich kooperatywę, w której niczego nie było za wyjątkiem prezerwatyw, chałwy i jakiejś wody do pokrapiania się. A ludzie potrzebowali mydła, soli, cukru i innych artykułów pierwszej potrzeby. Drugie znaczące wydarzenie to tzw. „głodny rok” 1942- 1943, w którym wszyscy lub prawie wszyscy odczuli głód. Ten drugi okres spowodowany był wylewem Dniestru i bardzo dużymi opadami deszczu oraz niemieckim zakazem handlu. Zakaz ten (o tym już wielokrotnie pisałem) uniemożliwiał ludziom dowóz żywności z terenów, gdzie nie było kłęski powodzi. Wypowiadając się na ten temat, zdaję sobie sprawę, że może niekiedy ludzie nie chcieli mówić o życiu w biedzie lub też z perspektywy lat nie wydaje im się ten okres aż taki straszny.

Książka „Wspomnienia naszych dziadków”, wydana w 2008 roku na podstawie wywiadów przeprowado-

nym przez uczniów gimnazjum w Kostomłotach, pod redakcją pani Moniki Asyngier, zawiera 38 wypowiedzi mieszkańców gminy Kostomłoty. Jedenaście z nich przeprowadzono z ludźmi, którzy mówią, że pochodzą z Łukowca. Być może, że jeszcze kilka osób pochodziło z Łukowca lub przebywało na Łukowcu w czasie wojny, jednak o tym nie mówią wprost, więc pomijam te osoby. Ci zaś co wyraźnie stwierdzają, że pochodzą z Łukowca, w największym skrócie mówią o swoim życiu tak:

– „Życie było zwyczajne” (**Kudłacz Cecylia**)

– „Ojciec był zamożnym rolnikiem miał 32 morgi pola” (**Kryciński Jan**)

– „Życie było straszne i bardzo biedne” (**Kołodziej Leon**)

– „Życie w mojej wiosce było skromne, ale nie aż tak biedne” (**Brzuszek Ludwik**)

– „Chociaż było biednie, to potrafiliśmy się cieszyć życiem” (**Szydłowska Anna**)

– „Mieliśmy dość duże gospodarstwo. Swoje dzieciństwo wspominam naprawdę dobrze” (**Maciąg Józefa**)

– „Rodzice zajmowali się gospodarstwem, całe dzieciństwo było bardzo szczęśliwym okresem mojego życia.” (**Martka Julia**)

– Rodzice „hodowali konie, świnki, kury i krowy a także uprawiali ziemię” (**Furtak Kazimierz**)

„Ludzie utrzymywali się z uprawy roli – niektórzy posiadali też własne lasy” (**Babula Józefa**)

– „Dziadkowie i rodzice zajmowali się rolnictwem – obowiązkiem każdego

dziecka było pasienie krów i praca w polu”(**Siekierski Andrzej**)

– „Ziemi rodzice nie mieli dużo – robili wszystko sami, żyli dość ubogo”. Do Polski jechaliśmy w wagonach odkrytych - takich do przewożenia węgla, wieźliśmy konie, krowy, zboże.” (**Iwanicki Edward**)

Na podstawie tych stwierdzeń można uogólnić, że o skrajnej biedzie zdecydowanie mówi tylko jedna osoba. W tym zestawie Jan Kryciński i Józefa Maciąg wypowiadają się podobnie, choć nie tak samo – a byli rodzeństwem.

Może jeszcze kilka uwag. Jedna z osób pisze, że niektórzy rolnicy mieli lasy. Gdy pytałem mojego dziadka Karola Burdzego o jego majątek odpowiedział, że miał 16 mórg a później 12 i kawałek lasu, który też komuś sprzedał. Dopytywałem go o ten las - wyjaśnił mi, że był on piękny: grabowo - dębowy z bukami i jesionami. Dziś nie pamiętam, ile tego lasu było, ale wydawało mi się to jakoś mało. Gdybym miał dzisiaj podać ten areal, to powiedziałbym, że morga a może nawet niecała morga – czyli niedużo. Jeszcze raz się powtórzę – rozmawiając na temat biedy na Łukowcu, z pewnym łukowianinem usłyszałem, że tak naprawdę to tam prawie wszyscy mieli dwie, krowy albo i więcej. Dodał też, że pewnie byli i tacy, co mieli jedną krowę ale on jakoś takich rodzin nie pamięta. Krowy te były pasione najczęściej na pastwiskach gromadzkich i tego arealu nie wliczało się do osobistego majątku gospodarza. Słyszałem też, że te pastwiska gromadzkie były mocno eksploatowane – ale jednak one były. Niekiedy, gdy

krowa wracała z łąki, można było jej jeszcze rzucić trochę trawy czy jakiejś koniczyny, żeby nie była głodna. To dawało gwarancję, że mleka będzie wiadro czy nawet półtora dziennie. Łąki na Łukowcach stanowiły duży areal. Na Łukowcu Wiśniowskim około 200 hektarów. Podobnie na Łukowcu Żurowskim 2 pastwiska gromadzkie były o podobnym areale.

Wielki zabór krów

Wyglądało to tak: Przyjechali żołnierze niemieccy i krowy, które były na pastwisku, zagnali do jakiejś zagrody i je zabrali. Ale czy było ich 100, czy 80, czy 60, tego nie wiem. Wiem, że kilku rodzinom udało się kilka krów odzyskać. Resztę zabrano i popędzono do rzeźni. Najgorszą sytuację miały te rodziny, którym zabrano wszystkie krowy. Jednak i w tej sytuacji radzono sobie bardzo praktycznie: zobowiązywano tych rolników, którzy nie ponieśli żadnych strat do przekazania 1 krowy tym rodzinom, którym zabrano wszystkie sztuki. I robił to sołtys w trybie nakazowym: „Jak mogą, to niech wam coś za tą krowę dadzą, ale jedną krowę to ta rodzina musi mieć”. I moim dziadkom Faszynkiedrom zabrano jedną sztukę. Była to nawet strata podwójna, bo oprócz utraty krowy, babcia nie mogła spełnić woli dziadka. Ciocia mówiła, że dziadek napisał do babci z Afryki, że krowę łaciąta obiecał służącej u nich przed wojną Ukraince – Parani. Niestety, babcia nie mogła jej przekazać, bo Niemcy ją po prostu zjedli. O tych zaborach krów chciałbym jeszcze napisać kilka zdań. Zdarzało się, że Niemcy włączali do stajni i zabierali

krowę, nie pytając i nie tłumacząc niczego.

Pani Janina Pietrak, z domu Siekierska, napisała w swoich wspomnieniach, że w czasie całego okresu wojny zabrano im aż 10 sztuk bydła. Z jej pamiętnika wynika też, że wyjeżdżając do Polski jechali z dwiema krowami i koniem. Pan Miśkiewicz Witold, mieszkający w Malczycach, wspominał też, że wtedy ich krowa również została zagarnięta przez Niemców, ale poradziła sobie w sposób niezwykle. Gdy Niemcy zagonili stado do zagrody – ona poszła w inną stronę niż pozostałe. Łamiąc żerdź przeszła przez ogrodzenie i szybko pomaszerowała do domu. Weszła na podwórze i ryknęła, dając gospodarzom znać, że już jest i żeby jej otworzyć drzwi do stajni, i tak się uratowała. Ten zabór był ciosem dla wiosek, choć trzeba też wyjaśnić, że jakaś ilość krów uratowała się, gdyż było to lato i spora ich część poszła do lasu, chroniąc się przed upałem. W tych lasach kresowych ściółka leśna jest trochę inna niż u nas na Śląsku czy na Zachodzie Polski, gdzie dominują lasy iglaste. Tam rośnie, gdziekolwiek trawa, jest więcej ziół i jakiejś zieleniny w którą, krowy często wchodziły. W tym dniu zaboru część krów właśnie w lesie się schowała. Akcja Niemców była reakcją na zaległości wsi w przekazywaniu obowiązkowych dostaw dla okupanta.

Księga sklepowa

Kilka lat temu otrzymałem od cioci Janki „Księgę Sklepową” dziadka Faszynkiedra. Od razu zdałem sobie sprawę, że może to być ciekawy materiał do przeanalizowania: co ludzie najczęściej kupowali, ile co

kosztowało, jaki był asortyment towarów a nawet jakie miał sklep utargi – dzienne, tygodniowe, miesięczne. Przeglądając księgę sklepową kilkakrotnie, zwróciłem uwagę na zapisy, że Cisowski zabijał dziadkowi świnie, a Janusz przywiózł towar z Bukaczowiec. Są zapisy o kupnie miodu od Małkowicza czy zboża od Furtaka. W sumie korzystał dziadek z pomocy 5-7 ludzi w okresie jednego miesiąca. Albo inaczej, miesięcznie dawał zarobić za różne usługi na rzecz sklepu przynajmniej kilku osobom. W pewnym momencie usiadłem nad księgą i zacząłem ją czytać kartka po kartce. Trzysta pięćdziesiąt stron – przez trzy popołudnia czytałem i coraz bardziej zagłębiałem się w tajemnice dziadkowego interesu. Jedna strona ukazuje przychody i wydatki sklepu w okresie 1 tygodnia. Zaczęło mi się to wszystko powoli rozjaśniać i układać w jakąś całość a odczytanie tych wszystkich zakupywanych pozycji i utargów dziennych tygodniowych, ku mojemu zdziwieniu, zacząłem traktować tak, jakbym szukał jakichś rekordowych wyników sportowych. W tym tygodniu utarg jest taki, w następnym wyższy, a w następnym zysku nie ma. W tym znowu ponad sto złotych czystego dochodu. W sumie to analizowanie przestało być nudne. Zacząłem robić notatki i zwracać uwagę na sprzedawany towar, a nawet liczyć dziadka dochody. Pewnie nie zwróciłem uwagi na wszystkie interesujące aspekty handlu przedwojennego na polskiej wsi, ale w całej pełni uświadomiłem sobie fakt, że ta księga informuje o bardzo wielu

rzeczach: o tym co ludzie jedli, co pili, ile co kosztowało, jaki był utarg a nawet o tym, że sklep był otwarty przez 7 dni. Księga zawiera ceny zakupywanych artykułów od 1934 do 1939 roku. Daje się zauważyć, że przez cały ten okres, obejmujący pięć i pół roku, ceny za chleb, za kielbasę, za piwo, za drożdże i sól są praktycznie stałe. Pierwsze spostrzeżenia, które mi się narzuciły jest takie, że sklep sprzedawał bardzo dużo soli. Średnio 300-350 kg miesięcznie. Chyba też sprzedawał sporo piwa 10 – 12 skrzynek miesięcznie po 50 butelek w skrzynce. Co daje jakieś 500- 600 butelek miesięcznie. Szło też sporo zapalek i drożdży. W okresie zimowym dziadek kupował co miesiąc 1-2 świnię, które zabijał tylko jeden rzeźnik - Władysław Cisowski (cena za zabicie i wyroby to 6 – 7 zł). Zdziwiła mnie też cena za świnię – niekiedy wynosiła 100 -120 złotych a nawet więcej, co wydawało mi się ceną wyższą niż cena za krowę. Zacząłem pytać, z czego ta cena mogła wynikać i uzyskałem wyjaśnienie od pana Kazimierza Furtaka, że świnię przed wojną a nawet jeszcze w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, były chowane do 150 a nawet 200 kg i że jednym z najważniejszych produktów ze świni była słonina.

Była ona w tamtym czasie obok masła najważniejszym tłuszczem w kuchni. A cena słoniny kształtowała się na poziomie ceny kielbasy, która kosztowała - 1,80 zł za 1 kg przy cenie 1,50 zł za 1 kg słoniny. Dość ciekawie kształtują się też ceny za zboże. Za 100 kg pszenicy płacił dziadek 17- 20

zł, za 100 kg kartofli – 5,0 zł. Cena za przemiał w młynie 200 kg pszenicy wynosiła 4 zł. Inne ceny: 1kg chleba – 28 gr. 1 kg cukru 1 zł, 1kg masła 2,30 zł, 1 paczka zapalek – 5 groszy, 1 bułka 3,5 grosza, 1 jajko 4-5 groszy. Na zakup pieczywa wydawał sklep co miesiąc 50 - 60 zł, co wydaje się bardzo niewielką kwotą i wynika z faktu, że ludzie zazwyczaj sami sobie piekli chleb. Pieczywo (chleb i bułki) było kupowane w Żurawnie i w Bukaczowcach. Musiały więc być w obu tych miasteczkach piekarnie. Ciekawe są również stosunkowo liczne zapisy o zakupie papieru i toreb papierowych do pakowania towaru. Świadczy to o pewnej kulturze obsługi klienta. W latach 70. byłem na Litwie – dziesięć km od Wilna na studenckim obozie – mieszkaliśmy we wsi z polską ludnością. Wszedłem kiedyś do wiejskiego sklepu tylko po chleb. Stałem w niewielkiej kolejce i nie to było dla mnie szokiem, że stojący za mną mężczyzna poprosił, żebym kupił mu chleb, bo oni mogą kupić tylko po jednym bochenku a obcokrajowiec (inostraniec) dwa, lecz to, że mięso kielbasę no wszystko pakowali do gazet i tak podawali towar klientom. Po prostu oni tam na Litwie jedli ołów.

Ludzie, którzy kooperowali ze sklepem dziadka zarabiali głównie na sprzedaży świń i zboża, które dziadek mielł na mąkę. Kilku gospodarzy dość systematycznie dowoziło do sklepu towar, a to piwo, a to inne artykuły, a dziadek płacił w zależności od długości trasy – 4zł, 2 zł a niekiedy nawet mniej. W książce sklepowej znalazłem też dwa zapisy – wizyta u

lekarza. W obu wypadkach wizyty kosztowały po 10 zł – a lekarstwa 7 zł i 6 zł, a dowóz chorego furmanką 2 złote.

(Przedwojenna złotówka wyceniana jest na dzisiejsze 15 zł. Dolar amerykański kosztował przed wojną 5 złotych).

Łukowiecka architektura

Domy na Łukowcu były małe. Uświadomiłem to sobie po raz pierwszy, gdy zobaczyłem polisę ubezpieczeniową domu dziadka Karola Burdzego z 1932 roku. Poszedłem wtedy do ojca i powiedziałem: „Tato, ty mówiłeś, że żyliście dość dostatnio, a ja tu widzę, że mieszkaliście w takim maleńkim domku? Ojciec odpowiedział wtedy: „No tak, dom był mały, bo nas było tylko troje. On był tak przygotowany, że gdyby jeszcze jakieś dziecko się urodziło, to tato dobudowałby dodatkowy pokój”. Potem w innej rozmowie zapytałem ojca, czy była podłoga? Odpowiedział, że była z desek poprzybijana do drewnianych legarów. Jeszcze innym razem mówił mi, że takie domki kuchnia i pokój to były dość typowe, choć zdarzały się i domy większe. Ten mały domek dziadka oprócz kuchni i pokoju miał jeszcze mały ganeczek. W polisie ubezpieczeniowej dziadka wrysowane są budynki i można się zorientować, że miał dziadek jeszcze stodołę ze stajnią 85,5 m² i stajenkę czy chlewik 26,8 m². Numer ewidencyjny dziadkowego domu 138. Dom i zabudowania oszacowane były na kwotę 2290 zł a składka ubezpieczeniowa na rok wynosiła 10 zł 23 groszy. Z polisy wynika też, że

domek i ganek były pokryte dachówką a pozostałe budynki słomą. Posiadam jeszcze polisę ubezpieczeniową należącą do Piotra Kowala, syna Andrzeja. Jest jednak ta polisa uboższa – nie ma na niej wrysowanego gospodarstwa, są tylko podane wartości stodoły i stajni oraz nr domu, wartość zabudowań i wysokość składki ubezpieczeniowej (zobacz Zeszyty Łukowieckie Nr 16-17 str. 41)

Dom dziadka Antoniego Faszynkiedra, który stoi do dzisiaj, choć w stanie opłakany zarówno z zewnątrz jak i w środku, jest normalnych współczesnych rozmiarów. Bryła domu sprawia wrażenie bardzo nowoczesnej – dom jest z półpiętrzem i gankiem i kilkoma pokojami. Gdyby ten dom odnowić, wyglądałby jak typowy współczesny domek jednorodzinny. Okna są nie za duże, ale skrzyniowe, a na drewnianym ganku pozostało jeszcze kilka kolorowych szybek. Do ganku prowadzą kiepskie dwuczęściowe drzwi otwierające się na obie strony. Jak pokazałem zdjęcie tego domu Heńkowi Paczkowskiemu, – odparł, że bym nie żartował, że to dom z Łukowca. Odpowiedziałem: „Przecież możesz tam pojechać i go zobaczysz, bo on tam wciąż jeszcze jest”. Kazimierz Furtak, który patrzy bardzo realnie na Łukowiec, stwierdził, że były i domy gdzie zamiast podłogi było klepisko, a łukowianie przenosząc się na Ziemię Odzyskane przenieśli się z domów drewnianych do dużo większych murowanych. Większość tych domów na Zachodzie była też zelektryfikowana.

Łukowianie osiedlali się głównie na wsiach, gdyż byli rolnikami. Otrzymywali gospodarstwa rolne - 7 czasem 5 - hektarowe a niekiedy nawet 10 ha. Wielu przyjmowało te zmiany z niedowierzaniem, gdyż uważali, że powrót na Kresy jest możliwy, sytuacja polityczna była w tym czasie niepewna, a rywalizacja pomiędzy mocarstwami zaostrzała się. Mieszkający we wsi Osiek - Feliks Czuber, bogaty gospodarz z Łukowca, który także otrzymał typowe gospodarstwo rolne, w jednej z rozmów powiedział do sąsiadów: „Byłem kiedyś taki bogaty a teraz mam gospodarkę taką jak i wszyscy sąsiedzi”.

Kiedyś zacząłem rozmawiać z Kazimierzem Furtakiem na temat sytuacji chłopów w I Rzeczypospolitej i przyrównywać los chłopów pańszczyźnianego do niewolnika. Chłop pracował przecież na pańskiej ziemi i należał do pana. Nie mógł opuścić wsi, nie mógł kupić sobie ziemi, odrabiał pańszczyznę i niekiedy musiał nawet kupować odpowiednią ilość wódki z karczmy należącej do pana. To była społeczna niesprawiedliwość. Kazik Furtak spokojnie odparł: „Było tak wszędzie, nie tylko w Polsce, a teraz co myślisz, że każdy może kupić sobie ziemię? Musi mieć uprawnienia rolnicze”. Niby się o tym wie, ale i tak było to jakieś odkrywcze w ustach pana Kazika Furtaka. Pomyślałem sobie wtedy, że przecież on ma rację. Obrót ziemią w Polsce jest ograniczony do mieszkańców wsi pracujących na roli i też do ludzi mających wykształcenie rolnicze”.

Uświadomiłem sobie, że i ja kiedyś miałem taką sytuację, że z żoną i dwójką dzieci mieszkaliśmy w mieszkaniu 32 m². Były to dwa pokoje, mała kuchnia, małe łazienki korytarzyk i mała łazienka oraz balkonik wewnętrzny. Mieszkanie było ładne i ustawne, ale to było tylko 32 m². I zacząłem się zastanawiać czy dziadkowie w swoich 48 m² nie mieli się lepiej. Wprawdzie miałem gaz, wodę, prąd i centralne ogrzewanie, ale i tam były jakieś atuty. Wychodziło się na podwórko, nie na klatkę schodową, była przestrzeń, zdrowe powietrze, zapach drzew i widoki nieporównywalne z tym, co niekiedy można było zobaczyć na klatkach schodowych wielopiętrowców.

To się w głowie nie mieści!

Niektóre informacje o Łukowcu są, że się tak wyrażę - zadziwiające. Jan Kudłacz mówi: „Ojciec nie wrócił po wojnie do Polski, gdyż najzwyczajniej bał się represji. Został wywieziony na Sybir jako wróg Związku Radzieckiego. Gdy zaczęło powstawać wojsko polskie w Rosji, zgłosił się do Armii Andersa. Z wojskiem tym opuścił Rosję i przeszedł kampanię włoską. Ojciec przed wojną był związany z wojskiem, miał w domu broń i był wzywany na różne ćwiczenia i szkolenia. Był też pewnym autorytetem wśród gospodarzy, szczególnie Polaków. Kiedyś przed wojną przyszło do niego kilku gospodarzy z Łukowca na rozmowy. Ojciec ich przyjął, była to jakaś grupa mocno lewicująca, bo w pewnym momencie wyciągnęli sztandar i

pokazali go ojcu. Z jednej strony był wizerunek Matki Boskiej Kochawińskiej a z drugiej sierp i młot. Jak to ojciec zobaczył, to otworzył drzwi i ich wygonił!”. Byłem tym mocno poruszony i powiedziałem panu Janowi, iż wydaje mi się, że w mojej rodzinie komunistów nie było. Dziadek Karol miał poglądy zbliżone do PSL (miał przedwojenną legitymację PSL) i też był sympatykiem Piłsudskiego. Podobnie dziadek Antoni, był sympatykiem marszałka. Jan Kudłacz powiedział, że: „Ci wyrzuceni Łukowianie mieli do ojca jakieś pretensje, ale gdy z matką znaleźliśmy się na Łukowcu u Babulów, to nikt marnego słowa nam nie powiedział”. Stwierdził też, że Łukowiec w czasie wojny zjednoczył się i różnice polityczne poszły na bok. Jego zdaniem ksiądz Bodarski, proboszcz na Łukowcu, też był demokratą i uważał, że wszyscy ludzie są równi. Do tego stopnia, że nie pozwalał chłopom przychodzić do kościoła w krawatach. Kazał im je zdejmować w kościele, gdyż uważał krawaty za symbol nierówności społecznej (jak Wincenty Witos). Wydało mi się to jakieś dziwne. Na co pan Jan Kudłacz powiedział, że był taki przypadek, iż ksiądz Bodarski poprosił o zdjęcie krawata rolnika, a ten go nie posłuchał i ksiądz podczas mszy podszedł do niego i mu ten krawat zdjął. Po księdzu Bodarskim proboszczem Łukowca został ksiądz Władysław Potrzebnicki. Kiedy zacząłem dyskutować na ten temat z panem Kudłaczem – powiedziałem, że wydaje mi się, że moja rodzina to byli głównie piłsudczycy. Pan Jan twier-

dził, że Burdzych znał i że oni mogli sobie pozwolić na takie poglądy. Na marginesie chciałem jednak dodać, że po wojnie odwiedził córkę Adama Burdzego – Bogusławę Dębicką jakiś nasz kuzyn z Kanady i stwierdził, że jest komunistą i chce budować w Kanadzie komunizm. Na co kuzynka odpowiedziała: „Stryju, po co masz się męczyć tam w Kanadzie i budować komunizm, jak on tu już w Polsce jest gotowy? Zostań i będziesz go miał”. Niestety ten stryj nie skorzystał z propozycji kuzynki. Gdy kiedyś na temat Łukowca rozmawiałem z panem Edwardem Szotem, z Brunowa, on również twierdził, że na Łukowcu ludzie, szczególnie grupy rówieśnicze, mówili sobie na „ty” i że żadnych panów tam nie było. Rozmawiałem też z Marianem Kowalem z Wałów. Przypomniałem mu, że u nich pod kasztanami (rosły przy ich domu) były dwie ławeczki i tam chłopci ze wsi gromadzili się i wspominali stare czasy. Marian o tym wiedział i stwierdził, że poglądy tych najstarszych Łukowian były takie same - dalekie od komunistycznych. Jeden tylko pan Karandas miał je jakieś inne. Nie był on z Łukowca, ale był to porządny człowiek i jego wypowiedzi specjalnie nie denerwowały Łukowian, gdyż wszyscy wiedzieli, że był żołnierzem armii Andersa.

W Żmigrodzie i Żmigródku.

Moja propozycja wyjazdu do Żmigrodu spotkała się z aprobatą Kazimierza Furtaka. Mieliśmy odwiedzić mieszkających tam Łukowian rodziny: Chorzępów, Maciągów i Januszów. Spotkanie z

Ryszardem Chorzępą było pierwsze. Słyszał o wycieczkach na Łukowce i był zainteresowany naszymi informacjami. Nawiązałem rozmowę, pytając o transport jakim przyjechali do Polski. Odpowiedział, że o ile pamięta, to tym transportem przyjechali mieszkańcy Wałów i Starego Dworu. Pociąg był długi. W ich wagonie jechały 4 rodziny (razem ponad 25 osób). Ojciec poszedł do Rosjan z wódką jeszcze w Chodorowie i zapisał brata i siostrę jako małżeństwo, czyli piątą rodzinę. Dzięki temu zapisowi rodzina mogła zabrać podwójną ilość bydła. Gdyż w tym czasie jedna rodzina mogła przywieźć tylko jedna krowę i jednego konia. To się udało – mówi pan Ryszard: „Z Ruskimi szło wszystko za wódkę załatwić”. Wieźliśmy z Łukowca też ze 100 kg bardzo cennego wtedy tytoniu i naszego psa. Jechaliśmy około czterech tygodni. Gdyby nie wódka, to nie wiem, czy dwa miesiące by wystarczyły na dojazd na Dolny Śląsk”. Zapytałem o liczbę osiedlonych rodzin w Żmigrodzie. Pan Ryszard wyliczył dziesięć. Między innymi trzy rodziny Maciągów, rodziny: Januszów, Wacyrów, Tonderysów, Saramów, Marszałków i inne. Z dalszej rozmowy dowiedzieliśmy się, że brat Ryszarda - Antoni został zabity przez Ukraińca. Pracował w Baudinście, wracał pociągiem do domu – Wszedł konduktor i zaczął sprawdzać bilety, brat coś mu powiedział obraźliwego. Wtedy towarzyszący konduktorowi policjant ukraiński uderzył go kilka razy kolbą w głowę i go zabił. Śmierć brata widział Kazimierz Iwanicki i tę

strasзлиwa wiadomość właśnie jemu przekazał. Poinformował nas też, że Antoni został pochowany na Cmentarzu Łyczakowskim - 3 metry od kwatery Orląt Lwowskich, ale w którym miejscu – to pan Ryszard nie ma pojęcia.

Maciągów, do których pojechaliśmy, nie zastaliśmy w domu. Miałem adres do Antoniego Janusza w Żmigródku. Wioska praktycznie łączy się ze Żmigrodem. Byli w domu. Zwróciłem uwagę, że adres mam dobry, dlaczego korespondencja wraca? W odpowiedzi usłyszałem: „Mieszkamy w tym samym miejscu – jednak kilka lat temu zmieniły się nazwy ulic. To wyjaśnia problemy z korespondencją. Żona pana Antoniego poinformowała nas, że Zeszyty czytali, byli w Środzie Śląskiej na wystawie „Rodem z Łukowca” i także na Łukowcu. Już po kilku minutach okazuje się, że jesteśmy daleką rodziną. Pan Antoni stwierdza, że dziadek mój - Antoni Faszynekier był jego ojcem chrzestnym i nazywał go wujkiem. A z moją mamą, wujkiem Ryśkiem i ciocią Janką – byli po imieniu. Wyjaśniałem, że nasza rodzina jest niejako podwójnie spokrewniona z rodziną Januszów - raz poprzez prababkę Ziemiańską, która była z domu Janusz i drugi raz przez Jana Janusza - zwanego „Worem”, który miał za żonę Burdzównę.

Po dwóch tygodniach znowu odwiedziliśmy Żmigród i Żmigrodęk. Tym razem udało się nam zastać przedstawicieli rodziny Maciągów. Rozmawialiśmy z panią Barbarą Kaczmarek, z domu Maciąg. Jest to chyba najliczniejsza rodzina z

Łukowca, która osiedliła się w Żmigrodzie. Liczyła kilkanaście osób w tym 11 dzieci. Państwo Kaczmarkowie także mówili, że zwiedzili wystawę „Rodem z Łukowca”. Z wspomnień wynikało, że dziadkiem pani Barbary był Wojciech Dziubak – przewodniczący łukowieckiej Kasy Stefczyka. Pytałem o jego losy. Pani Barbara wyjaśniła: „Dziadek urodził się we Lwowie. Do Łukowca przyjechał po ukończeniu szkoły ekonomicznej. Skierowano go do pracy na pocztę w Żurawnie. Osiedlił się na Łukowcu i codziennie transportował pocztę ze stacji Żurawno - Nowosielce do miasteczka Żurawno. Jeździli po pocztę bryczką i przy okazji zabierali ludzi z Żurawna do stacji kolejowej (przeważnie Żydów). Pani Barbara mówiła, że dziadek powtarzał, iż z Żurawna do stacji Żurawno - Nowosielce było 11 km. Ponieważ na Łukowcu była Kasa Stefczyka, dziadek do niej należał i z racji wykształcenia dość szybko awansował na Prezesa Zarządu, a gdy powstała Mleczarnia i tam został zatrudniony jako księgowy”.

Byłem bardzo zadowolony z tych informacji, gdyż Wojciech Dziubak był na Łukowcu ważną osobą. Pani Barbara wyjaśniła też, że dziadek wyjechał z Łukowca podczas wojny do Przeworska. Zabrał część rodziny i tam przetrwał najgorszy czas. Po wojnie dołączył do jednego z transportów łukowian i z nimi przyjechał na Dolny Śląsk.

Od państwa Kaczmarków otrzymałem cukiernicę, która należała do rodziny Dziubaków. Kiedy zapytałem pana Jana Kaczmarka, skąd pochodzi jego

rodzina – uśmiechnął się i powiedział: „A skąd może pochodzić Kaczmarek?” – odpowiedziałem, że to typowe nazwisko dla Wielkopolski – i usłyszałem: „Odpowiedź jest dobra!”. Trzeci nasz wyjazd do Żmigrodu był podyktowany faktem, że do państwa Kaczmarków przyjechał ksiądz Adolf Maciąg. Stwierdziliśmy z panem Kazimierzem Furtakiem, że rozmowa z łukowianinem, który miał 16 lat w 1945 roku może być interesująca. Zadzwoiłem też do Januszów z informacją, że przyjedziemy do Żmigrodu i jesteśmy gotowi ich odwiedzić. Zapytałem też, czy ja dobrze zrozumiałem Antoniego, że jak przyjadę następnym razem, to otrzymam cegłę z Łukowca, na której widnieje napis „Chodorów”. W odpowiedzi usłyszałem: „Cegła jest przygotowana, jak się pokażesz, to ją dostaniesz”.

Kazik Furtak zachorował, więc pojechałem z bratem. Chciałem też zadać jedno pytanie panu Ryszardowi Chorzępie dotyczące uli, gdyż wydawało mi się, że mówił, iż jego ojciec je przewiózł z Łukowca. Po przyjeździe do Żmigrodu usłyszałem: „Ojciec żadnych uli nie przywiózł - oprócz krów i konia przywieźliśmy jeszcze psa”. Zaniemówiłem, coś mi się pomyliło. Siedzieliśmy jeszcze, i słuchaliśmy pana Ryszarda. Przekazał kilka nowych informacji między innymi taką, że jego ojca - brat Jan Chorzępa został zamordowany pod Holeszowem wraz ze szwagrem o imieniu Grzegorz z Nowoszyn. Obaj handlowali tytoniem. Ich ciała leżały cała zimę w lesie, ale wiosną dały się rozpoznać. Innego stryja Leona mieli

w Hrechorowie. Gdy rodzina zaproponowała im przeniesienie się na Łukowiec odpowiedział, że to jest niepotrzebne, bo dobrze żyją z Ukraincami. Jednak „dobrze” było tylko do czasu, wkrótce musieli uciekać. Inna niesamowita informacja przekazana przez pana Ryszarda dotyczyła mleczarni. Niemcy ją uruchomili. Polacy z Łukowca i Nowoszyn zaczęli zdawać mleko. Zdawali te ilości, które musieli. Ilościowo było wszystko w porządku, ale Polacy do mleka zaczęli dolewać wodę. Litry się Niemcom zgadzały, ale mleko zostawało na Łukowcu. Jednak Niemcy zorientowali się w oszustwie. Jakieś aparaty do badania jakości mleka już były. (Nie jestem pewny czy konsekwencją tych zdarzeń był ten wielki zabór krów przez Niemców).

Ksiądz Adolf Maciąg ma 90 lat. Jest wysoki i szczupły. Kiedy kilka godzin wcześniej zadzwoniłem do Kaczmarków, pani Barbara przekazała, że ksiądz wie, że przyjedziemy, a dla żartu powiedziała bratu: „Pan Burdzy tu będzie za 2-3 godziny i będziesz ty teraz się jemu spowiadał ze swojego życia”.

Miałem sporo pytań dotyczących Łukowca, ale jedno chciałem zadać księdzu najpierw: „Czy naród żydowski jest nadal narodem wybranym”. W odpowiedzi usłyszałem: „To są słowa Boga – nie są cofnięte”. Potem zacząłem pytać o Łukowiec: Czy przyjechali z transportem, który osiedliły się na Wałach i w Starym Dworze? Ksiądz odpowiedział: „Nasz transport zatrzymał się tu w

Żmigrodzie, 10 czy 12 rodzin wysiadło a reszta pojechała dalej. Wydaje mi się, że ta reszta to osiedliła się w Pogorzelskich i być może w Szklarach Dolnych na kolonii”. Informacja ta była dla mnie ciekawa i zadawałająca, tym bardziej, że ksiądz dodał, iż jego zdaniem z Łukowca to dużych transportów było osiem. I ja też tak wyliczyłem 8 lub 9 dużych transportów.

Chciałem też ustalić, ile osób liczyła rodzina Maciągów, gdyż pan Chorzępa twierdził, że jechało 11 dzieci i dwoje rodziców. Ksiądz odpowiedział: „Dzieci w rodzinie było jedenaścioro, ale my nie jechaliśmy w wagonie z Chorzępami. Ja jestem najstarszym dzieckiem w rodzinie. Na Dolny Śląsk jechało nas ośmioro, gdyż po wojnie, urodziła się jeszcze trójka mojego rodzeństwa. Pani Barbara Kaczmarek dodaje: „To prawda, ja się przecież urodziłam w 1950 roku, a potem urodziła się jeszcze dwójka młodszego rodzeństwa”.

Pytałem o wyjazd dziadka Dziubaka z Łukowca. Ksiądz mówił: „Dziadek wyjechał w 1943 roku do Przeworska. Zabrał część rodziny. Samoobrona już się zawiązywała, ale nie było pewne, czy się utrzyma.

Pytałem też o wielkość gospodarki, która należała do parafii w Łukowcu: „Parafia nie miała żadnej gospodarki” – mówił ksiądz. Wyjaśniam, że o księdzu Józefie Galiku krążyły legendy, że ubierał buty gumowe i pracował w gospodarstwie. Ksiądz prostował, twierdząc, że on mógł pracować tak u swojej siostry. Przekazywano mi też, że specjalny

wóz jeździł od domu do domu a gospodarze dawali po parę snopków i tak się zbierało dla księdza. Ksiądz Adolf odpowiadał: „Była taka tradycja - organista rozwoził opłatki na święta i wtedy dawało się jemu, a nie księdzu po parę snopków, albo nawet coś innego, na przykład miarkę zboża”. Zapytałem też, czy był drugi organista zastępujący Ludwika Skrybanta. Ksiądz po chwili zastanowienia wyjaśnił, że czasem zastępował Skrybanta pan Antoni Soja i że była to rodzina spowinowacona z panem Skwarczyńskim - organistą ze Stryja. Ksiądz Maciąg poinformował mnie też o kolejnych proboszczach parafii w Łukowcu: Pierwszym był ksiądz Emil Seretny drugim ksiądz Uruski trzecim ksiądz Moczarowski czwartym ksiądz Józef Bodarski, po nim ksiądz Władysław Potrzebnicki, a dalej ksiądz Józef Wanatowicz i ostatnim był Ksiądz Józef Galek. W pewnym momencie zaczęliśmy rozmawiać o pastwiskach na Łukowcu, gdyż ja nie wiedziałem czy to pastwisko na Łukowcu Wiszniewskim miało 200 mórg czy 200 ha. Ksiądz mówił, że areał był bardzo duży – kilometr może trochę więcej na dwa km . Odpowiedziałem, że jak 1 km na dwa to jest 200 ha bo przecież morga austriacka to tylko 57 arów. A ksiądz dodał: „Tam przecież miała być cukrownia, ta właśnie, którą wybudowano w Chodorowie”. Oniemiałem – a ksiądz powtórzył: „Miała tam być cukrownia. Chłopi się jednak nie zgodzili, bo gdzie mieliby paść krowy?” – Odpowiadam, że słyszałem o tym, ale nie dawałem temu wiary. (Jan Kuchta mówił, że o

takim projekcie słyszał). Dzisiaj już w to wierzę! Cukrownia Chodorów to była jednak duma państwa Polski – w podręcznikach do historii gospodarczej pisze się o tej niezwyklej cukrowni. Cukier z niej wysyłano na zachód Europy do Niemiec, Francji, Anglii. Ksiądz potwierdził, że najwięcej do Anglii. Profesor Stanisław Nicieja, autor Kresowej Atlantydy, także poświęca tej cukrowni kilkanaście stron (tom III str. 133-146).

Kiedyś rozmawiałem z Kazikiem Furtakiem na temat cukrowni w Chodorowie. Interesowało mnie czy rolnicy z Łukowca sprzedawali tam buraki. Wyjaśnił, że nawet jego ojciec kontraktował je i wywoził do Chodorowa. Stwierdził też, że poletko ojca było niewielkie, najwyżej 15-arowe. Wywoził je kilka razy bo te fury łukowian były małe – mieściło się w nich najwyżej do 1 tony buraków - więc trzeba było wiele razy obracać. Za to były jakieś pieniądze i też w rozliczeniu melasa, którą dodawało się do pasz dla zwierząt. W czasie wojny z tej melasy robiono już tylko bimber. Z wyjaśnień pana Kazimierza Furtaka wynika, że przynajmniej kilkunastu rolników z Łukowca kontraktowało buraki. Wymienił mi jednak tylko oprócz swojego - jeszcze jedno nazwisko dostawcy z Łukowca – Feliksa Czubera.

Rozmawialiśmy też na temat kościoła i cmentarza na Łukowcu. Pierwsza osoba pochowana na tym cmentarzu, to była pani (Stefania?) Kolońska, pochowana w 1890 roku. Pokazałem kserokopię zdjęcia grobu z takim

właśnie napisem. Pokazałem też zdjęcie z datą budowy kościoła 1892 r., widniejącą na kościele w Łukowcu do dziś. Z dokumentów wynika, że dzwonnice wybudowano w 2001 roku. Parafię powołano do życia w 1910 roku. Choć są zapisy, że od 1901 roku wykonywano czynności należące do kościoła parafialnego. Gdy opuściliśmy dom Kaczmarków, było już ciemno.

W stosunkowo krótkim czasie znaleźliśmy się u państwa Januszów. Witając Antoniego Janusza powiedziałem: „Wiesz, coś mi się pomyliło i chciałem zapytać Chorzępę o ule. A tu się okazuje, że oni przywieźli psa a nie pszczoły!” Antoni prostował: „Pszczoły to mój ojciec przewiózł”! Było to trzy ule. Przed podróżą osiatkował je, tak jak się to robi na zimę. - Mówię „Ale pomyliłem sobie osoby - wszystko wraca na swoje miejsce - jestem w domu”. No może nie wszystko - ja na Antoniego mówię Antek a mój brat Wojtek „wujku”. To staje się śmieszne! Ale brniemy dalej. Pijemy kawę i jemy ciasto. Tłumaczę nieobecność Kazika Furtaka. Wyjeżdżamy obdarowani cegłą z napisem „Chodorów” z szatkownicą z Łukowca oraz kubkiem na osełkę z krowiego rogu. Rzeczy wydają się bardzo ciekawe. Antoni powiedział jeszcze: „Te noże do szatkownicy to robota Baka”. Obiecałem zapamiętać. Zważywszy na fakt, że z poprzednich wizyt u Januszów przywiozłem różki jelenia i strug - spotkania w Żmigrodzie i Żmigródku można uznać za bardzo udane.

Powrót do Lubina mamy dobry, pomimo jazdy nocą. W domu też oglądałem cegłę i nie widziałem napisu „Chodorów”. Na drugi dzień rano w świetle dziennym dojrzałem duże „K” po niej kropkę, dalej wyraz Chodorów i literę „V” lub może cyfrę rzymską.

Podczas drugiej wycieczki na Łukowiec odnaleźliśmy także naszych krewnych. Pani o nazwisku Makosiej Wanda poinformowała, że jej mama pochodzi z rodziny Klimasów, do której weszła mojej babci Ewy siostra. Z rodziną tą utrzymywaliśmy pewne kontakty - mieszkali w Zastrużu. Sam byłem tam kilka razy u wujka Edwarda Klimasa. Ustaliliśmy, że po wycieczce spotkamy się i stare dobre czasy powspominamy. Cztery miesiące później pojechaliśmy do państwa Makosiejów mieszkających w Starych Bogaczowicach, blisko Wałbrzycha i blisko Sanktuarium w Krzeszowie oraz blisko zamku „Książ”. U Makosiejów poznaliśmy matkę naszej kuzynki, panią Zofię Klimas. Sędziwa pani, chwile po naszym przybyciu zeszła z piętra, gdzie ma swój pokój. Po chwili nastąpił czas na wspomnienia - zapytałem: „Ciociu, powiedz, czy twoja mama była siostrą naszej babci, czy może to pokrewieństwo w drugiej linii”? Usłyszeliśmy: „To nie ja jestem waszą krewną, ale mój mąż. Tak naprawdę to nie wiem, czy jego matka to waszej babci siostra, czy dalsza kuzynka – ale rodzina to na pewno była”. Ciekawiło mnie na, którym Łukowcu mieszkali. Okazało się, że rodowe nazwisko cioci to Dudek i że rodzina ta mieszkała nie na

Łukowcu lecz w Nowoszynach, na parcelacji „Czartoryskich”. Jak miała 14 lat, to poszłam do pracy w alabastrowi. Tam pracował też jej ojciec Jakub Dudek - był sztygarem. „Pracował w kamieniołomach przy pozyskiwaniu alabastru a ja pracowałam głównie na magazynie i w wolnych chwilach szlifowałam odlewy”. Według wyjaśnień cioci, alabastrownia funkcjonowała po wejściu Rosjan i także po uderzeniu Niemiec na Związek Radziecki. Dopiero zajęcie tych terenów przez Rosjan w 1944 roku przerwało jej pracę. Na pamiątkę naszego spotkania otrzymałam od kuzynki sarenkę z alabastru, którą jej mama Zofia ze sobą przywiozła. Dodatkową atrakcją naszego spotkania było zwiedzanie Starych Bogaczowic - miejscowości mającej początek w średniowieczu. Obejrzeliśmy barokowy kościół rzymsko-katolicki pod wezwaniem, św. Józefa Oblubieńca N.M.P. i kapliczkę pod wezwaniem św. Anny z 1736 roku, usytuowaną na wzgórzu, na północ od wsi.

Nasze wyjazdy do miejscowości gdzie żyją łukowianie i ich potomkowie mają głównie dwa cele - zbieranie przedmiotów, które zostały przywiezione z Łukowca i pozyskiwanie informacji na temat samoobrony, bazy partyzanckiej i życia Łukowian przed wojną oraz w czasie jej trwania. Do tych dwóch celów ostatnio dodaliśmy i trzeci – informujemy łukowian o inicjatywach pana Juranda Kopalskiego, czyli o wycieczkach do Łukowców i działaniach upamiętniających dawnych mieszkańców. Stąd

pomysł budowy lapidarium, grobowca i umieszczenia tablicy pamiątkowej, którą zamierzamy niebawem tam odsłonić.

Zaproponowaliśmy panu Jurandowi również wyjazdy z nami do miejscowości zamieszkałych przez łukowian - na co chętnie przystał. Podczas pierwszego wyjazdu ustaliliśmy, że nie ma ksiąg kościelnych dotyczących Łukowca w żadnej z parafii w powiecie średzkim. Sugerowano nam, że są one w parafii Gościśław. Podczas drugiego wyjazdu zatrzymaliśmy się w Jenkowicach i w Zabłociu u Maciągów i Kuriatów (rodzina powiązana z Martkami z Łukowca) w Wichrowie u państwa Ziobrow, i w Mieczkowie u Marka Burdzego. Inny wyjazd był powiązany ze zwróceniem odznaczeń męża - pani Władysławie Kędzierskiej, która nam je wypożyczyła na wystawę „Rodem z Łukowca”. Odwiedziliśmy też Chomiąże, Lipnicę, Słup i Wały oraz Stary Dwór. Chciałem, żeby Jurand Kopalski zdał sobie sprawę jak wielka masa ludzi pochodzi z Łukowca. Nawet mu powiedziałem, parafrazując słowa Pawlaka z filmu: „Nie ma mocnych” – „Chciałem, żebyś zobaczył dokąd Łukowiec sięga”.

Jurand raczej się temu nie dziwił: Dziwił się jednak sobie samemu, mówiąc: „Franek, czy ja całkiem nie zwariowałem z tym Łukowcem. Zamiast siedzieć w domu przy piecu, grzać kości i pić wino, jeżdżę po jakichś urzędach i po wsiach, dzwonię do ludzi i namawiam ich do wyjazdu na Łukowiec” - odpowiedział: „Jurand, ciesz się, że ci się chce działać. Jak coś robisz, to znaczy, że

jesteś jeszcze młodym człowiekiem!” Innym razem Jurand zastanawiał się głośno - czy Ukraińcy obecni mieszkańcy Łukowca - zdają sobie sprawę z tego, co tam się działo w czasie wojny? Zdania są raczej podzielone. Jedni mówią, że wiedzą na pewno, inni, że na pewno wiedzą co się działo - Ukraińcy z sąsiednich wsi. Oni niekoniecznie - bo przecież tu nie mieszkali. Kiedy mnie zapytano, co ja o tym myślę, odpowiedziałem, tak jak Zenek Ziobro z Wichrowa, trochę na temat i trochę nie, rosyjskim powiedzeniem: „Cicho jedziesz, dalej zajedziesz”. Po prostu chciałem powiedzieć, że Ukraińcy z Łukowca nie muszą wszystkiego wiedzieć, a my nie jesteśmy od tego, żeby ich na siłę uświadamiać.

Na Wałach spotkaliśmy się z Urszulą Babulową. Zrobiła nam nawet pewną niespodziankę, gdyż autentycznie interesują ją dzieje Łukowca i na dodatek pamiętała panią Anielę Krawczyk, która mieszkała po wojnie w ich sąsiedztwie. Pani Urszula może tak wiele o niej nie powiedziała, ale wiedziała, że Żydzi, których ona uratowała, naprawdę jej się odwdzięczali, gdyż otrzymywała paczki z Ameryki.

Rozmawiając z Kazikiem Furtakiem powiedziałem, że gdybym był pewien, że uda mi się sporządzić choćby częściową listę rodzin, które ukrywały się na Łukowcu, to próbowałbym ją zrobić. Gdyby na tej liście znalazło się z trzysta nazwisk – byłoby to już coś. Furtak odparł: „Trzysta nazwisk to powinienes znaleźć bez trudu. Na Łukowcu ukryło się znacznie więcej

rodzin”. Byłem tym stwierdzeniem zachęcony i w pewnym momencie zacząłem spisywać te rodziny, o których wiem, że pochodziły spoza Łukowca. Wynik był mizerny. Gdy spotkałem się po paru dniach z Kazikiem, powiedziałem, że tak trochę zacząłem liczyć te nazwiska i nie znalazłem nawet stu. On był zdziwiony. Ja zaś wyjaśniałem, że należało by pytać każdego łukowianina, kto ukrywał się u niego w domu w czasie wojny?. Wtedy to miałoby jakiś sens. Poza tym, to łukowianie nie mogli znać wszystkich przybyszów, gdyż było ich bardzo dużo i też średni okres zamieszkiwania w Łukowcach uciekinierów oscylował w granicach dwóch lat.

Dostałem w ubiegłym roku listę 21 rodzin z Łukowca, które osiedliły się we wsi Pogorzelska, koło Chocianowa. Sporządził ją pan Edward Piechuta - mieszka obecnie w Żarach. Gdy podczas wycieczki na Łukowiec okazało się, że w hotelu pod Lwowem dzielimy wspólnie pokój, podziękowałem jeszcze raz za tę listę i zapytałem o rodzinę Nowaków. Rodzina ta znalazła się na tej liście, ale brakowało mi tam nazwiska głowy rodziny. Na co pan Edward odpowiedział: „Tam nie było głowy, rodzina ta składała się tylko z matki i dzieci”.

Wyprawa po ziemniaki

(wspomnienie Jana Kudłacza)

W roku 1943, mieszkaliśmy na Łukowcu Żurowskim, u wujka Franciszka Babuli, przy ulicy Zielonej Dolnej, w Nidwach, pod lasem młodzieńskim. Jednego dnia niespodziewanie przyszedł do nas ksiądz Dziedzic z Czechem, który był księgowym w Hrechorowie w Liegenschaftcie (Liegenschafty – były to majątki po właścicielach ziemskich, którzy zostali powywożeni na Sybir lub je opuścili z obawy przed represjami ze strony radzieckiej władzy). Po uderzeniu Niemiec na Związek Radziecki Niemcy starali się te majątki zagospodarować. Ludzie, którzy uciekli na Łukowiec przed Banderowcami z ruskich wiosek, często nie mieli żadnego dobytku i nie mieli co włożyć do garnka. Ksiądz Dziedzic i Czech przyszli do mojej mamy (Teresy Kudłacz), aby z nią porozmawiać. Później mnie wezwali i zapytali, czy bym nie zorganizował trzech furmanek, którymi pojechało by się do wsi Mołodzieńce, do Liegenschaftu, po ziemniaki dla uciekinierów, bo nie mają co do garnka włożyć. Zapytałem, jaka jest gwarancja, że Banderowcy nas nie zaatakują, gdy będziemy jechali przez las. Oni odpowiedzieli, że wszystko jest uzgodnione, że te ziemniaki są zaraz za lasem i z kierownikiem Liegenschaftu zostało załatwione, że kopiec będzie odkryty. Przez las przeprowadzą nas polscy partyzanci (10 chłopców). Uzgodniliśmy, że dam znać, na kiedy zorganizuję te trzy wozy. Jedną furmankę miałem, po drugą poszedłem do Żyry Józefa a po trzecią do Martki Franciszka i obaj się zgodzili. Przekazałem mamie, że furmanki mam załatwione, a ona poszła na plebanie do księży i powiedziała, że jesteśmy gotowi jechać. Za trzy lub cztery dni otrzymaliśmy informację o dacie wyjazdu. Mieliśmy wyruszyć o czwartej rano. Byliśmy gotowi, zjawił się ksiądz Dziedzic z tym Czechem i z partyzantami, którzy mieli nas eskortować. Partyzanci byli uzbrojeni. Zaraz za lasem zobaczyliśmy kopce z ziemniakami, było ich dziesięć, jeden z nich był częściowo odkryty dla nas. Chłopcy (partyzanci) zostali w lesie i czekali, aby nas z powrotem eskortować. Pospiesznie załadowaliśmy ziemniaki i wyjechaliśmy na drogę, a tu niemiecka polówka z Niemcami i jeszcze około dziesięciu gestapowców na koniach. Krzyczą: „Banditen, Hande hoch”. Partyzanci, którzy nas ubezpieczali, wycofali się i jak się później dowiedzieliśmy, dali znać na naszą plebanie i do komendanta Edwarda Polaka, że zostaliśmy zatrzymani. Niemcy nasze konie wyprzęgli, powiązali nam ręce do tyłu przewodami od telefonów, wsadzili na polówkę i zawieźli do wioski Młodzieńce do sołtysa. Z Czecha i księdza, którzy byli z nami, spisano protokół, a nas postawili pod ścianą i czekaliśmy na kierownika Liegenschaftu, bo tłumaczyliśmy się, że sprawa ziemniaków była z nimi załatwiona i my niczego nie kradliśmy. Ten kierownik nie zjawił się i zabrano nas na gestapo do Chodorowa. Nie wiedzieliśmy, co stało się z naszymi końmi i wozami. Tam w Chodorowie wsadzono nas do piwnicy, gdzie siedzieliśmy do północy razem z Banderowcami złapanymi przez Niemców. O dwunastej w nocy otworzyły się drzwi – dali nam szpadle i poszliśmy kopać dół do ogrodu. Nastraszyliśmy się, że nas wystrzelają. Jak zaczęliśmy kopać, zauważyliśmy, że kopimy okopy, bo przylecieli już Ruscy

samolotami i bombardowali Chodorów. Jak wykopaliśmy ten odcinek, który Niemcy nam kazali, to przykryliśmy go deskami i ziemią. Wsadzili nas znowu do piwnicy. Rano otworzyły się drzwi i zabrano księdza i Czecha, i już się z nimi nie widzieliśmy. Zostało nas trzech. Około godz. dziesiątej zabrano nas z tej piwnicy na korytarz. Tam zjawiała się siostra zakonna i przyniosła nam herbatę i kanapki. Zaraz potem zabrano nas do biura, do komendanta gestapo. W biurze siedział gestapowiec za stołem i tłumacz oraz maszynistka, która spisywała nasze zeznania. Tłumaczyliśmy, że my nie kradliśmy i też nie byliśmy na zarobku - uważaliśmy, że to wszystko jest załatwione. Zaprowadzili nas znowu na korytarz i tam staliśmy. Za pół godziny wezwali nas z powrotem. W biurze siedział tylko komendant - gestapowiec. Rozmawiał z nami po polsku. Pytał czy chcemy, aby nam zwrócono konie? Mówimy, że to cały nasz majątek, bo wszystko nam zniszczyli Banderowcy. Powiedział do nas, żebyśmy już nigdy nie jechali, jak nie będziemy mieli papierów z pieczętkami. Kazał nam wyjść na ulicę, gdzie czeka na nas samochód, ten sam co nas tu przywiózł. Nic nam nie powiedział dokąd ten samochód nas zawiezie i nic nie powiedział o naszych koniach. W końcu okazało się, że samochód zawozi nas na plebanię do Chodorowa. Wyszła siostra zakonna i nas zabrała do środka, a Niemcy zostali w samochodzie. Najpierw zaprowadziła nas do łazienki, gdzie umyliśmy się, a potem ksiądz zaprosił nas do pokoju. Zjedliśmy obiad i zapytaliśmy o księdza Dziedzica i Czecha - odpowiedzieli, że są już w Łukowcu. Samochodem pojechaliśmy do miejsca, gdzie stały nasze konie i te ziemniaki na wozach. Spytałśmy Niemców - czy mamy zwalić te ziemniaki, odpowiedzieli, że nie. Niemcy eskortowali nas na Łukowiec przed kościół. Na nasze przywitanie wyszedł ksiądz Dąca, ksiądz Dziedzic i ksiądz Wanatowicz. Podziękowano nam. Niemcy, którzy z nami przyjechali napili się mleka i odjechali do Chodorowa. My zwaliliśmy ziemniaki i pojechaliśmy szczęśliwie do domu.

Kudłacz Jan

Do wspomnień dołączona została informacja o rodzinach, o których wiedział pan Jan Kudłacz, że przybyły na Łukowiec z innych miejscowości. Jest to informacja szczątkowa ale użyteczna:

Z Dołhy - na Łukowiec przyjechały rodziny: Godków, Majchrów i Gałków.

Z Nowosielce - na Łukowiec przyjechały rodziny: Petrykiewiczów, Burdzego Adama i ksiądz Dąca

Z Nowoszyny- przyjechały rodziny: Buczkowskich, Szynalskich, Opalińskich, Dudków i Korytarze

Z Hrehorów - przyjechały: 3 rodziny Przewiędów, 2 rodziny Andruszków, rodzina Kłodnickich, Gilów, Wiśniewskich, 2 rodziny Żyrów, rodzina Kudłaczków, rodzina Szczepańskich i Rypniowskich i Kędzierskich i Lubińskich oraz rodzina Wal (Walów)

Ze Słobody, która należała do Hrehorowa, przyjechały - rodziny: Szmitów, 2 rodziny Bietków i Żurowski Adam

Z Żurowa – przyjechały rodziny: Bartoszków, Jachów, Halicka Bronisława i ksiądz Dziedzic.

Z Borysowa – przyjechali rodziny Filipów i Wojciechowskich

Te wioski, z których ludzie uciekali na Łukowiec - Dołha, Hrechorów, Oskrzesińce, Żurów, Berestawy, Nowosielce, Czeremchów, Mołodzience, Nowoszyny, Wiszniów, Karolówka

Oskrzesince – Prażmowski Felek mieszkaniec tej wioski.

Kudłacz Jan

Pan Jan Kudłacz opowiadał mi o tej eskapadzie po ziemniaki do Mołodzieniec już wcześniej – w tekście powyższym jest w zasadzie zapisane wszystko, o czym mówił za wyjątkiem drobnej informacji czy wyjaśnienia, że kiedy wrócił do domu Babulów, na Łukowcu, gdzie się ukrywał, nagle uświadomił sobie, że te ziemniaki są właśnie dla takich rodzin jak jego. Wziął więc wiadra i poszedł do Polaka na podwórko, gdyż tam te ziemniaki były wyładowane. Jakież jednak było jego zdziwienie gdy zobaczył, że na podwórzu nie ma ani jednego ziemniaczka, wszystko już ludzie rozebrali!

Pamiętajmy o naszych korzeniach

(wspomina Joanna Jaskuła - nauczycielka z Wichrowa)

Wszystkie plany, marzenia i zamysły runęły z chwilą, gdy matka Ojczyzna znalazła się w niewoli. Na początku nikt nie zdawał sobie sprawy z tego, do jakich okropności mogą posunąć się najeźdźcy z Zachodu i Wschodu.

Ponieważ mieszkałam blisko Lwowa, dane mi było odbierać gromy, które zsyłał na nas wróg radziecki i ukraiński. Już w pierwszym dniu niewoli ktoś szepnął mojej mamie, że ojciec ma być zabity. Opuścił więc dom, a mama, siostra, brat i ja dygotaliśmy ze strachu całą noc. Każde stuknięcie jabłka o ziemię podrywało nas na nogi, ale przetrwaliśmy szczęśliwie. Ojciec, z zawodu nauczyciel, przestał uczyć w szkole, bo odebrano mu klucze i nie pozwolono na dalszą pracę.

W październiku, w czasie odwrotu części armii radzieckiej wioska, w której mieszkałam, została cała zakwaterowana przez wojsko. Działało NKWD. Ukraińcy przedstawili mojego ojca jako dziedzica, wyzyskiwacza, konspiratora, wroga ludu i przyszli, aby go aresztować albo nawet od razu zabić. NKWD nie stwierdziło żadnych z tych oskarżeń i odeszli grożąc, że gdy tej nocy usłyszą strzał, to ojca zabiją, a jeżeli on ucieknie, to zginie cała rodzina. Od tego czasu ojciec już nie był w domu, a nas ciągle odwiedzała milicja, przeprowadzali rewizje. Przeżywaliśmy ciężkie chwile, aż do 12 lipca 1940 roku. Kiedy to banda

nacjonalistów ukraińskich dokonała morderstwa. Ojciec otrzymał dwie kule, a gdy upadł pokroili go nożami. To było pierwsze w naszej miejscowości zabójstwo Polaka, który służył ojczyźnie, wypełniał jej wezwania a nawet własne mieszkanie oddał na potrzeby garstki Polaków rozsianych wśród Ukraińców. Aby na wschód od Bugu Polska nie umarła. Pod okupacją Związku Radzieckiego przeżyliśmy okres wywózki na Sybir. Nie znaliśmy tych okropności, ale gdy pojechali pierwsi, wzmogliśmy czujność. Nie spaliliśmy po nocach, czuwaliśmy, nasłuchując, czy już nie jadą wozy po nas. W domu pieczono chleb, suszono makaron, droższe rzeczy zakopano do ziemi, a my zmarznięci z modlitwą „Pod Twoją Obronę” oczekiwaliśmy Ruskich siepaczy. W 1941 roku dostaliśmy się w niewolę hitlerowców. Równocześnie wzrosła liczba i siła nacjonalistów ukraińskich pod sztandarami Bandery. Zaczęła się wywózka Polaków do Niemiec. Wśród nich znalazła się moja siostra i tylko dzięki Bożej pomocy nigdy tam nie dotarła. Pierwszy raz została zwolniona przez lekarza, bo miała anginę, a w drugim przypadku uciekła już z obozu we Lwowie, strzeżonym przez uzbrojonych żołnierzy. Następnym ciosem dla Polaków za Bugiem stały się morderstwa masowe, poprzedzone pojedynczymi zabójstwami polskich nauczycieli i księży. Znamy przykład napadu na plebanię w Nowosielcach. Ksiądz ukrył się w piwniczce a matka jego i gospodyni poniosły śmierć. Dzięki mieszkańcowi Nowosielec panu Adamowi Burdzemu, który do reszty poświęcił się i naraził swoje życie i rodziny ksiądz przeczekał w ukryciu i długie lata mógł służyć swoją mądrością, doświadczeniem i wielką miłością wszystkiego co Boże i polskie. Pan Adam Burdzy zamiast nagrody po wojnie otrzymał więzienie z torturami. Chociaż wrócił do domu, to nigdy nie odzyskał zdrowia i sił do dalszego życia i umarł osieracając troje małych dzieci. Niemcy podsycali nienawiść do Polaków, więc i okrucieństwa nasilały się. Zaczęli ginąć ludzie zupełnie przypadkowo: Ktoś wyjechał i nie wrócił, bo został powieszony lub w inny sposób zamordowany. Ofiarami były dzieci, mężczyźni i kobiety. Słyszeliśmy o masowych mordach, które szły od Wschodu. Przez całą zimę moja rodzina uciekała wieczorami na Łukowiec, a rano wracaliśmy. Noce spędzaliśmy siedząc oparci o rękę. Raz w niedzielę zostaliśmy w domu „na wszystko jedno” trzymając dyżur przy oknie. Gdy na drodze pojawili się Banderowcy na saniach, ze strachu przed śmiercią uciekliśmy w nocy, brnąc po pas w śniegu. Każdej nocy widać było łuny z płonących domów polskich, a w tych płomieniach ginęli ludzie często w bestialski sposób mordowani. Sytuacja zmusiła nas do ucieczki na zawsze z domu. Zabraliśmy ważniejsze rzeczy a reszta została na rozgrabienie. Zamieszkaliśmy w Łukowcu, tak jak i inni Polacy, którzy znaleźli się w podobnej sytuacji. Skorzystaliśmy z gościnności mieszkańców tej wioski i z ich zrozumienia pomocy bliźnim, z ich miłości do swoich braci. W czasie rocznego pobytu na Łukowcu przeżyliśmy dużo chwil strasznych, okrutnych, nieraz dokuczał głód, brak środków higieny, a nade wszystko strach, że może dojść do napadu band ukraińskich na Łukowiec i trzeba będzie stanąć w obliczu może okrutnej śmierci. Nie daliśmy się pokonać, nocne warty –czujki z bronią w rękę to

normalność ówczesnego życia. Do normalności należała też szkoła zorganizowana przez kilku bardziej światłych mieszkańców, a mających choć w części do tego przygotowanie. Słyszeli oni dobrze głos zniewolonej Ojczyzny, która upominała się o swoje dzieci zgromadzone ze wszystkich stron o ich mowę ich uczucia i szczęście. Nauczanie było w tej szkole prymitywne, bez programu i podręczników - jedyną pomoc naukową to tablica i kreda. Na konferencję trzeba było jechać pod osłoną partyzantki z AK i z bronią ukrytą w torebce. Nie było wyboru, bo taka była chwila dziejowa i o to upominała się Ojczyzna. Wszyscy czekali z wielką niecierpliwością na zakończenie wojny i jej skutki. Jedne były nam znane: Wielu zabitych, wiele kalek, wielu bez dachu nad głową, rozdartych wewnętrznie przez niedostatek, utratę drogiej osoby, ciągły lęk o życie o przetrwanie. Oczekiwaliśmy na obcą nam decyzję państw zwycięskich myśląc, że będzie ona korzystna dla umęczonej Polski i jej walecznego narodu, lecz Jałta nie ziściła naszych oczekiwań. Ziemię Wschodnie Rzeczypospolitej oddano w posiadanie Związkowi Radzieckiemu, bo tak chciał Stalin. Polacy zmuszeni byli z tych terenów wyjechać na Zachód. Nastąpiło wysiedlenie czy przesiedlenie połączone z bólem żalem i rozpaczą. Żegnaliśmy ziemię ojczystą, traciliśmy dorobek wielu pokoleń, dorobek duchowy i materialny. Oddawaliśmy na pastwę nasze kościoły, pomniki naszych bohaterów, cmentarze na których spoczywały ciała bliskich i bohaterskiej naszej młodzieży, dla której sprawa Ojczyzny była zawsze zawołaniem. Ludzie płakali zostawiając swoją ojcowiznę. Najbardziej gorzkie rozstanie ze swoją ojcowizną miał rolnik polski, bo tę niwę kochał, nie mógł się rozstać z chatą budowaną w węgły lub żurawiem u studni. Droga na Zachód była bardzo trudna i niesprawiedliwa. Mój transport jechał przez 6 tygodni, a był to listopad i początek grudnia 1945 roku. Ludzie nie mieli jedzenia, nie było miejsca na odrobinę higieny, więc nic dziwnego że zaczęły nam towarzyszyć wszy. Bydło w wagonach ryczało z głodu i z zimna. W czasie postoju na stacjach wybieraliśmy się do okolicznych wiosek z prośbą o pomoc w przetrwaniu. Niekiedy ludzie wspomagali nas jak mogli, w większości nakarmili, dali chleba, ziarna dla bydła, ale byli i tacy którzy przeganiali jak psa. 8 grudnia przyjechaliśmy do Środy Śląskiej – mróz i śnieg, a nocleg pod gołym niebem. Rano posiłek w postaci czarnej kawy. To był kres tułaczki po dworcach kolejowych. Każdy musiał sam szukać sobie miejsca do zamieszkania. Z domów wychodzili Niemcy – zaglądali z ukrycia - uważali nas za rabusiów, którzy przyszli zabrać im mienie. Nie rozumieli wszyscy, że to rozkaz. Osiedlenie odbywało się jednak bez większych przeszkód. Już 2 lutego zorganizowałam szkołę na terenie wsi Wichrów, bo tu osiedliła się moja rodzina. O tę szkołę prosili mnie rodzice. Dali buty, kozuch i furmankę do Środy Śląskiej, aby zgłosić szkołę w Inspektoracie Szkolnym. Mimo chorych nóg pojechałam. Inspektor, były więzień obozu – pan Krechowicz przyjął z radością ten wniosek. Udzielił informacji, a reszta należała do społeczeństwa. Ówczesna społeczność to ludzie związani miłością, poszanowaniem, ofiarnością, hojnością w działaniu. Na przygotowanie sali, jako miejsca do uczenia się dzieci, zeszły się niemal

wszystkie matki, ojcowie porządkowali sprzęt. Zrobili nawet tablicę z ciemnych drzwi. Na otwarcie pierwszej szkoły w naszej gminie przybył wójt. Otwarcie było bardzo uroczyste i radosne, ale przykryte żałobą wspomnień o licznych ofiarach, dzięki którym Ziemię Zachodnie odzyskał i mogliśmy w spokoju pracować i uczyć się. Wiem dobrze, że wolność nasza nie była pełna, nie o takiej wolności myśleli ci, którzy ginęli i życie swoje młode oddawali za Ojczyznę. Byli to ludzie pełni pokory i zadumy nad przeszłością, chętnie pomagali sobie, odwiedzali się często, rozmawiali jak przyjaciele, rozumieli potrzebę nauki – nauczyciela cenili. Do szkoły w Wichrowie uczęszczały dzieci z Mieczkowa, Kostomłot a nawet z Zabłota. Mieliśmy ławki poniemieckie, ale oprócz kredy i zeszytów nie było niczego. Dziennik lekcyjny prowadziłam na kartkach papieru a w nauczaniu wykorzystywałam podręczniki mojego ojca. Życie dochodziło do normalności i za parę lat wszystko powoli zaczęło się zmieniać. Ludzie dorabiali się, niektórzy bogacili się. To wszystko co było miłe i wzniosłe, zaczęło zanikać. Na miejsce miłości wkraczała nienawiść, zamiast życzliwości widoczna była zazdrość. Nastąpił podział w społeczeństwie, zwyciężyła głupota, zawiść, a pieniądze stały się bożyszczem. I doszło do tego co mamy.

Zapomnieliśmy o naszych korzeniach, a to jest bardzo niebezpieczne.

Joanna Jaskuła – Wichrów

Czytając wspomnienia pani Joanny Jaskuły zastanawiam się, czy stać nas dzisiaj na takie głębokie poświęcenie dla Ojczyzny? Dzisiaj, kiedy umiłowanie „Ojczyzny” kojarzone jest z nacjonalizmem, ksenofobią, a nawet nietolerancją. Bohaterska przeszłość naszych Ojców, powinna być dla nas cennym drogowskazem i oparciem w zrelatywizowanej rzeczywistości.

Materiały, które zgromadziłem do Zeszytów Łukowieckich Nr 18-19 przerosły moje oczekiwania, jest ich po prostu za dużo - wiele wątków pominąłem. Mam jednak nadzieję, że dane mi będzie do nich wrócić w 2019 roku, przy opracowywaniu kolejnych numerów Zeszytów Łukowieckich.

F.B.

Spis załączników:

1. List pani Danuty Rybotyckiej
2. Pismo z Wojskowego Centrum Edukacji Ekonomicznej.
3. Pismo z Towarzystwa Miłośników Ziemi Strzyżowskiej
4. Pismo prof. dr hab. Grzegorza Mazura wyrażające zgodę na opublikowanie w Zeszytach Łukowieckich jego artykułu.
5. Pismo z Archiwum Głównego Spraw Dawnych do pana Zbigniewa Króla w sprawie ksiąg metrykalnych Łukowca
6. Data budowy na kościele w Łukowcu oraz zdjęcie nagrobka pierwszej osoby pochowanej na cmentarzu w Łukowcu.
7. Obowiązkowe Ubezpieczenie zabudowań od ognia z 1932 r.
8. Pamiątkowa kartka od zakonnika o.o. Trapisty wraz z wierszem otrzymana w Larum w Palestynie gdzie formowało się wojsko polskie z datą 28.IX.1940r.
9. Pierwsza wycieczka na Łukowiec - zdjęcie stawu i kościoła
10. Pierwsza wycieczka na Łukowiec – zdjęcie z Cmentarza Łyczakowskiego
11. Kościół rz.-kat. pod wezwaniem Wniebowstąpienia Najświętszej Panny Marii, Krzyża Świętego i św. Bartłomieja w Drohobyczy z XIV wieku z zabezpieczeniem „Ręka noga mózg na ścianie”
12. Druga wycieczka – przywitanie na Łukowcu
13. Druga wycieczka – transport konny i dom Antoniego Faszyńkiedra
14. List pani Janiny Pietrzak (Siekierskiej)
15. Fotografie z Łukowca (rodziny: Szczęchów, Marków, Siekierskich)
16. Fotografia Franciszka Siekierskiego z adnotacją siostry Janiny Pietrzak
17. List pierwszy z 1955 r. - Józefa Dziuby z Kazachstanu
18. List drugi z 1956 r. - Józefa Dziuby z Kazachstanu
19. Zaświadczenie Archiwum (tłumaczenie) o danych w Archiwum Państwowym Ukrainy dotyczących Józefa Dziuby
20. Zaświadczenie o śmierci pana Józefa Dziuby w ZSRR
21. Sentencja wyroku Sądu Administracyjnego w Poznaniu utrzymująca w mocy orzeczenie odmawiające odszkodowania rodzinie pana Józefa Dziuby za niesłuszne skazanie ojca przez organa ZSSR.
22. Fotografia pana Józefa Dziuby.
23. Zdjęcie pani Anieli Krawczyk z wnukami.
24. Pozyskane w końcu 2018 r. eksponaty muzealne oraz zdjęcia z albumów rodzinnych Maciągów i Dziubaków.
25. Świadectwo ukończenia Gimnazjum Ogólnokształcącego Żeńskiego w Stryju przez panią Joannę Buczkowską.
26. Dokument repatriacyjny oraz zdjęcie z konferencji nauczycielskiej powiatu żydaczewskiego (lata 30-te).
27. Tablica na Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie - upamiętniająca martyrologię Polaków na Kresach z wpisanymi miejscowościami: Łukowiec Wiszniowski i Łukowiec Żurawski.

Wrocław 17.01.2016r.

Panie Franciszku!

Bardzo serdecznie dziękuję za listy i ostatni
Zeszyt Łukowicki. Ja i mój mąż (pochwalił
z Hozowej pow. Bneśany), przeczytaliśmy go
jednym tchem.

Toma którego pracy jest przeogromny, nie
do oparcia, nie mówiąc już o kosztach.
Chyba sam Pan Bóg zesłał nam takiego
człowieka, który z takim oddaniem i poświę-
ceniem podjął się tak wielkiego wyzwania.
Dziękujemy! Proszę przekazać też pozdrowienia
Krzysztofowi Furtekowi, który niejednokrotnie
czynnie Panu wspiera.

Jeśli chodzi o jakiegokolwiek pamiętki do
museum, to jest to trudna sprawa. My nie
mamy, bo po śmierci rodziców sprzedali-
śmy dom i nie mieliśmy gdzie zatrzymać
rzeczy już niepotrzebne.

Dziękuję u rodziców w Krakowie, Olsztynie
i Międzybóżu, też nie nie udało się.

Żyjąc póko następity przemiany ustrojowe,
starsi ludzie odeszli, młodzi nie przywiązy-
wali uwagi do starości i to cały problem.

Dziękuję za płyty i zeszyt eksponatów
musealnych.

Pytał Pan kiedyś, czy może wykorzystark
choćby w cześci, treści zawarte w albumie siostry,
otoś nie baroko, bo na to trzeba byłoby mieć
zgody myślowej.

Nawiązując do tego albumu mojej siostry
Kabelli, muszę stworzyć niektóre informacje
w nim zawarte. Jestem od niej trochę starsza
i lepiej pamiętam tamte czasy.

Przed odwołaniem do drukarni, siostra nie skonsu-
ltowała ze mną materiału dotyczącego jej
okresu wreszno-obsięgłego.

Pierwsze. Prowadzi jest, że obywatel wyem-
bierył ojca po ożenku z mamą, ale oni nie
zamieszkałi na plebanii lecz na organistówce
(ojciec był organistą), na której mieszkał też
w pewnym okresie czasu ks. Wernatorwa i młode
długo siostra myślała, że to plebania.

Drugie. Na terenie Szacholnie wyjeżdżaliśmy
z Chodorową i nie z Drohobycem.

3. tu podam rzeczywiste okoliczności ucieczki
ojca. Ojciec był przestuchiwany przez NKWD
w szkole (w rzeczywistości naszego domu) przez
całą noc i miał ranem zapytać, czy może
pójść do domu na śniadanie. Pozwolono mu,
to było przed godz. 7. W naszym domu był
jakiś w tym czasie brat mamy - Jasiuk Sidor,
gdyż był samopokojowy sytuacją taty.

Gdy ojciec wrócił do kuchni i powiedział, że przyszedł coś zjeść, to wyjechali bez namysłu, śpiąc go za kotłownią, wypełniła się dymem i karat mu uciskali. Ojciec niecht się stoczyć, w stronę potoku. Dostawca się chwilię wrócił do domu funkcyj-
mariusz NKWD i pyta gdzieś „хозяин” (gospodarz),
matka z wytkiem odpowiedziała, że nie wie, gdzie,
wyprawy niechty. Później ojciec ukrywał się
jeszcze przez jakieś 2-3 tygodnie, do czasu odjazdu
naszego transportu.

Matka została sama z dziećmi do spako-
wania całego dobytku. I tu muszę wspomnieć,
że dwóch NKWD-ów pomógł matce, z dobrej
woli, przy załadunku bagażu na wóz.
Jechaliśmy do Chodorowa białym błotnistym
drogą.

Tamte, w Chodorowie, gdy postawiono
wagony towarowe, było dawano odciecnie,
do wagonów niekrytych, a ludzi z bagażami
po 2-3 osoby wstawiali do jednego wagonu
krytego.

Warte odnotować aresztowanie ojca przez
SB po wojnie, to m.in. miało skutek wybuchów
bomby na Łukowie, podczas palenia się
stoczyć, a nie domni, jak napisali siostra.

Wiem potrzebę tych sportowań, bo dla
przeciętnego czytelnika, nawet trochę nieprawdliwe

informacje nie mają takiego znaczenia, jak dla nasych Łukowian.

Ja murłam oharję pójchwie mę Łukowiec, ale nie zdecydowatau się na wyjazd, bo się poprostu nadał bżę. Mocno w pamięci utkwiły mi nasze mocne niećeski (piętki matych okier) do potoku z powodu alarmów (mę chtë szersie firszywych) o napadzie bermolewów. No i krsolę mocy wioloki tym pójchdy się okierowały wiosek. Należ do pójchleń, które nie jest w stanie tego zapomnieć. Moje starsze mójstwo - dawa i dawa, pjer oturasy ciers po wojnie, zmywali się w mocy z kmykiem, pali się, mójchę".

W naszym domu w czasie wojny mieszkał, mę pójchty ks. Womatorwiec, pójchty w jego pokoju z Turkami (sprzymierzeni z Niemcami) a w ostatniej farsie wojny - funkcyjnami NKWD, którzy zajęli ten nasz jedyny pokój, w nim prowadzili pjestuchowanie.

Osoby, które mójchty podnos ciężkich pjestuchów, wnosili mę komytem i polewali je wodą. Aby zapł- szyć pjestuchowanych, robili hater.

Wszystko mę bolęto, ale najbardziej kmyki kobiet, którym m. in. wbijano szpilki pod piersi.

Nasze 7 osobowe mójstwo zajmowało tylko mały kuchnię i sypialnię. Te warunki były i były, baroko mę zahartowały.

Z okresu wojny pamiętam jeszcze pana
Sińkowskiego, młokienca ze Lwowa, który też
w pewnym czasie u nas mieszkał.

Pięknie śpiewał i goli burt nokiał w przedstą-
wieniu jesetek w domu Karawym, to ktoś go
rozpoznał jako kolaboranta. Ciekawie PK
pomyśli w nocy i zabrali go. My, obciś
bardzo zadowoliliśmy go.

Lukowiec wspominałem jako piękną wieś,
ludzie byli pracowici, zaradku i zdolni,
wiele rzeczy wytwarzali sami. Z uwagi na
nieobiektywność, dużo rokiem było ze sobą
spokrewnionych.

Bardzo miło wspominałem także pełną oliwy,
pięknych koniów. Znajdowało się one
za Tarynkiedram w stronę stacji. Nigdy później
nie widziałem tak pięknych koniów.

Jeśli chodzi o ilość mieszkańców w czasie
wojny, to myślę, że przybyło było ok. 6000.
Wydaje mi się, że podawana liczba 10 000 jest
zbyt wysoka.

Pamię Franciszku, pieszemu kilka razy,
które może Pan wykonywać w Lwowie, o ile
ma Pan za odpowiednie

Bardzo, bardzo serdecznie pozdrawiam, również
od Izabelli. Życzymy Panu dużo zdrowia i siły
do kontynuowania wieloletniego dzieła. Bóg zapłać.
Wojciecha Lukowiankę Danusia Rydzotychę
- skrzyniarz



WOJSKOWE CENTRUM
EDUKACJI OBYWATELSKIEJ

Nr 1942
Data 16. MAJ 2014...

00-909 Warszawa 119
tel. (22) 6 872-500
fax: (22) 6 872-506

Warszawa, 16 05.2014 r.

Pan Franciszek BURDZY

ul. Ptasia 93
59-300 Lubin

Dotyczy: liczby jeńców w Stalagu 315 Przemyśl-Przekopana

Szanowny Panie

odpowiadając na pismo z 27 marca 2014 r., uprzejmie informuję, że z przesłanego materiału trudno precyzyjnie wywnioskować, z jakiego okresu pochodzi wzmianka o jeńcach wojennych. Niemniej jednak po wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej w 1941 r. w Przemyślu (Przekopana) utworzono obóz jeniecki Stalag 315, który funkcjonował od jesieni 1941 r. do lipca 1944 r. Ciężkie warunki sanitarne w 1941 r. spowodowały epidemię tyfusu. W okresie tym umierało dziennie 30–50 jeńców. Stan liczebny obozu: minimalny 1 VI 1943 – 1130 jeńców, maksymalny 1 IV 1944 r. – 11 003 jeńców.

Z poważaniem

DYREKTOR

[Signature]
wz. dr Grzegorz JASIŃSKI



TOWARZYSTWO MIŁOŚNIKÓW
ZIEMI STRYŻÓWSKIEJ
w Strzyżowie, kod 38-100
ul. Przecławczyka 6, tel. 761-091
identyfikator GUS P-0805241-76962665
59-2-834-69265

Strzyżów 2001-VII-12

Szanowny Pan
Franciszek Burdzy
ul. Ptasia 93
59-300 LUBIN

W odpowiedzi na list z dnia 9.VI.2001r - informującym,
prawdopodobnie dziadek pana o nazwisku Paszynkieder/Waschenkieder/, który
jako Austriak był pierwszym starostą w Strzyżowie, ożeniony z Polką i tu
zmarły w czasie zarazy - Towarzystwo Miłośników Ziemi Strzyżowskiej
w Strzyżowie uprzejmie informuje, że nie można ani zaprzeczyć, ani też
potwierdzić tej informacji gdyż akta archiwalne Starostwa Strzyżowskiego
z pierwszych lat jego istnienia /a powstało 8.VIII.1896r/ zaginęły. Wpra-
dzie jest trzy miejscowości w Polsce o nazwie -Strzyżów, ale okolice
wskazują, że to chodzi o nasze miasteczko. Zaraza była w Strzyżowie w 180
co upamiętnia kamień na omentarzu cholerycznym na Żarnowskiej Górze. Po
sprawdzeniu księgi zmarłych i odnalezieniu nagrobka dziadka na tut. omen-
tarzach prześlemy panu stosowną informację.
starostą w 1903r był Mikołaj Pokiński.

Z poważaniem ZTS
TMZS w Strzyżowie
Adam Kluska

Prof. dr hab. Grzegorz Mazur
Instytut Nauk Polit. i Stosunków Międzynarod. UJ
ul. Jabłonowskich 5
31-114 Kraków
E-mail: g.mazur@uj.edu.pl
Tel.: 604-439-491

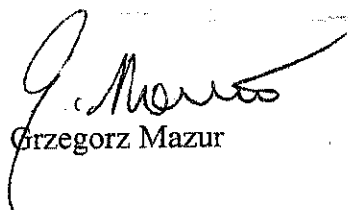
Kraków, 20 X 2014 r.

WPan
Franciszek Burdzy
ul. Ptasia 93
59-300 Lubin
Woj. dolnośląskie

Szanowny Panie!

Oczywiście wyrażam zgodę. Proszę tylko dać mi znać, że tekst ten został opublikowany, abym mógł to zapisać w swoim kajecie, zaś gdyby publikacja miała wymiar papierowy, oprócz internetowego, o przysłanie jednego egzemplarza. Wszelki koszt naturalnie bym pokrył. Cieszę się, że pamięć o tych wydarzeniach nie ginie i nadal jest podtrzymywana, mimo wszelkich trudności. Serdecznie dziękuję za pamięć o mnie.

Łączę wyrazy szacunku i najlepsze pozdrowienia



Prof. Grzegorz Mazur

ARCHIWUM GŁÓWNE

AKT DAWNYCH

ul. Długa 7

00 – 263 Warszawa

tel. +(48) 22 831 – 54 – 91 do 93

fax. +(48) 22 831 – 16 – 08

e-mail: sekretariat@agad.gov.pl

<http://www.agad.archiwa.gov.pl>

Pan Zbigniew Król

Nasz znak SSdK 6342.149.2018

23.07.2018

Szanowny Panie,

Archiwum Główne Akt Dawnych uprzejmie informuje, że w XIX w. Łukowiec był przysiółkiem Wiszniowa. Razem z Wiszniowem należał do rzymskokatolickiej parafii Bukaczowce. W 1910 w Łukowcu Wiszniowskim oficjalnie erygowano parafię (według informatora archidiecezji lwowskiej księgi metrykalne prowadzono już od 1901 r.).

W naszym archiwum nie przechowujemy ksiąg parafii Łukowiec.

Księgi parafii Bukaczowce mamy z XVIII w. i początku XIX w. (do 1833 r.).

Według posiadanych przez nas informacji księgi metrykalne rzymskokatolickiej parafii Bukaczowce (z Łukowcem) z lat 1830-1865 są przechowywane w Centralnym Państwowym Archiwum Historycznym Ukrainy we Lwowie, Pl. Soborny 3 a, 79008 Lwów, Ukraina, e-mail: tsdial@arch.gov.ua

Ksiąg parafii Bukaczowce i Łukowiec Wiszniowski nie ma w kościelnym Archiwum Abpa Eugeniusza Baziaka, ul. Bobrzyńskiego 10, 30-348 Kraków, e-mail: archiwum.baziaka@upjp2.edu.pl oraz w Archiwum Państwowym Obwodu Iwano-Frankowskiego, ul. Sahajdacznego 42a, 76006 Iwano-Frankowsk, Ukraina, e-mail: archives@daifo.org.ua

Księgi parafii Łukowiec Wiszniowski z lat 1901-1945 są przechowywane w Warszawie, w Sekcji Ksiąg Zaburzańskich USC, ul. Ks. I. Kłopotowskiego 1/3, 03-718 Warszawa, e-mail: uscskz@um.warszawa.pl.

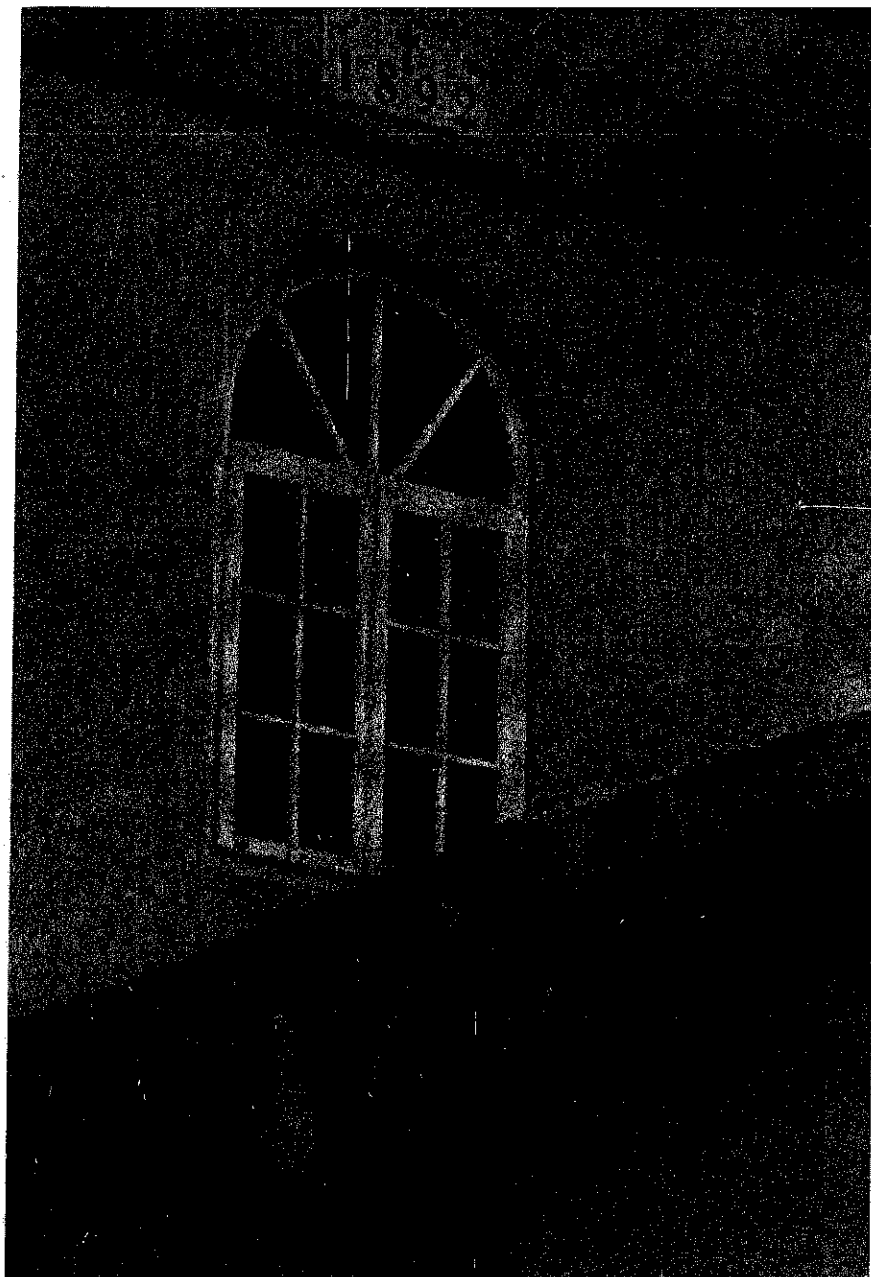
Według obecnie obowiązującego Prawa o aktach stanu cywilnego księgi zgonów objęte są 80 letnią ochroną. Teoretycznie więc powinny być dostępne (w praktyce księgi rzymskokatolickie, sporządzane wspólnie /urodzenia, śluby, zgony/ są dostępne dopiero po upływie 100 lat od zamknięcia ksiąg urodzeń; Księgi z Łukowca pozostaną więc w USC do 2045 r.).

Proponuję Państwa grupie zwrócić się do USC o wydanie kopii ksiąg zgonów (przynajmniej tych do 1938; a może z uwagi na cel przedsięwzięcia i późniejszych).

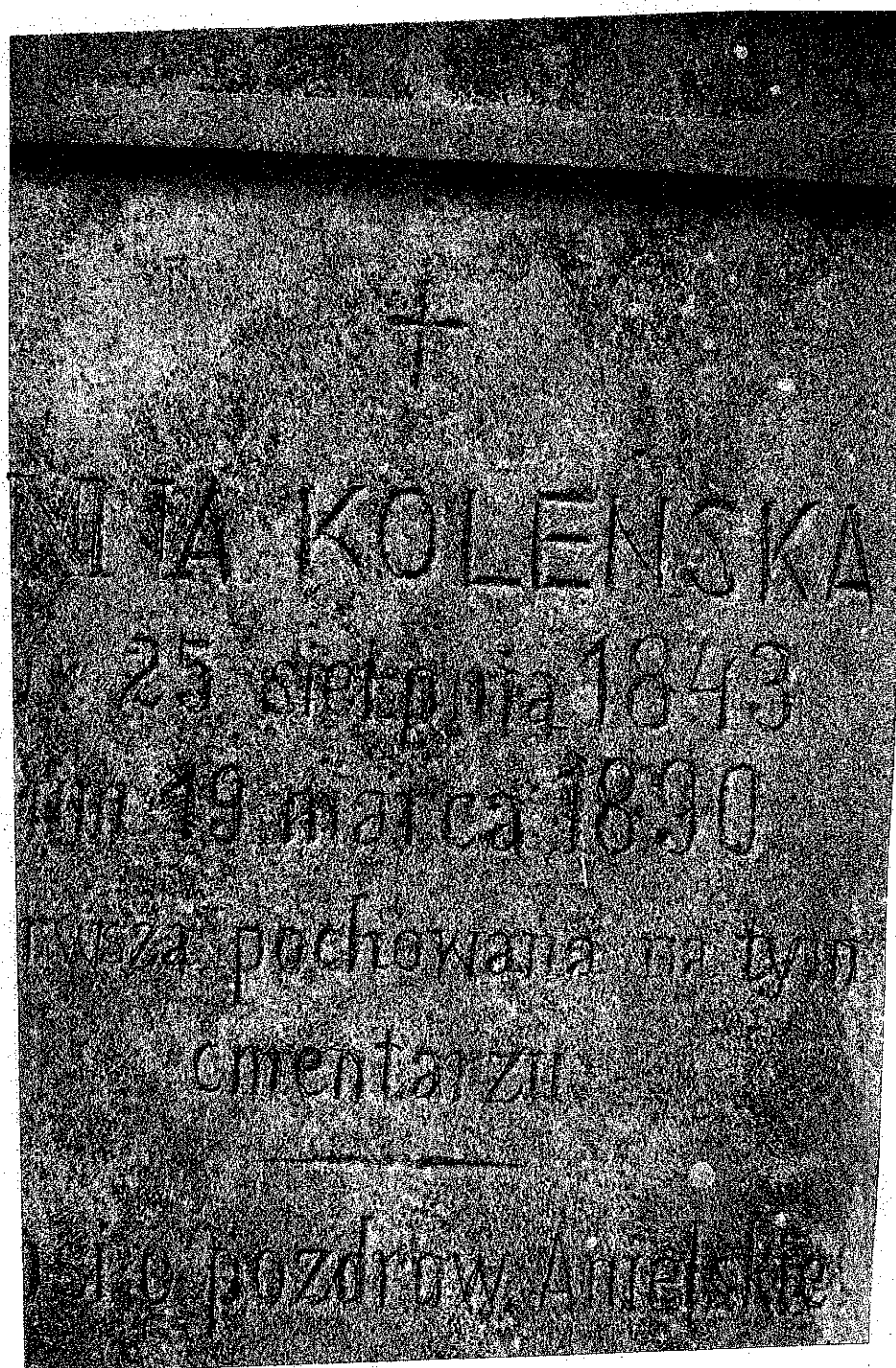
Na podstawie ksiąg zgonów będzie możliwe sporządzenie wykazu rodzin zamieszkujących w Łukowcu (najpraktyczniej jest przyjąć za punkt wyjścia nr domu).

Taki wykaz nazwisk mógłby posłużyć Państwu do przygotowania tablicy pamiątkowej.

Z poważaniem
Główny specjalista ds. kwerend
mgr Małgorzata Kośka



Data budowy na ścianie
Kościoła w Łukowcu



Zdjęcie nagrobka pierwszej osoby pochowanej
na cmentarzu w Łukowcu



Powszechny Zakład

Ubezpieczeń Wzajemnych

INSPEKTOR Wojewódzki w Stanisławowie

Dział przymusowych
ubezpieczeń budowli
od ognia.

Nr. 46
wykazu

Dowód ubezpieczeniowy

Powiat Pohronský

Gmina Pútovice

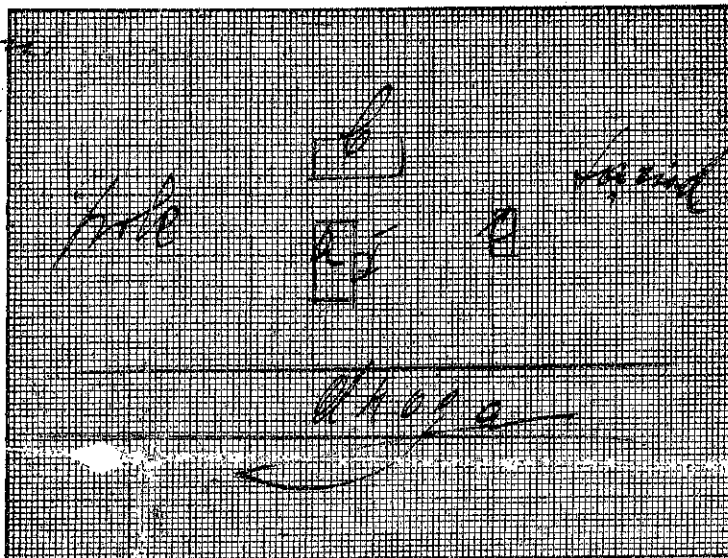
Miejscowość -1-

Nieruchomość Nr. 138

Ulica

Właściciel nieruchomości
(nazwisko i imię)

Girazy
Karol
Marek



Wymienione na odwrotnej stronie niniejszego dowodu budowle ubezpieczono od ognia
w P. Z. U. W. na ogólną sumę:

zł 2000

Słownie zł dwutysiąc sto dwieście złotych

Ze składką roczną zł 10.23 z opłatą stemplową zł 0.22

Ważność ubezpieczenia rozpoczyna się od godz. 12-ej w południe dnia 2. IV 1931 r.

Ubezpieczenie poprzednie obowiązujące od dnia 19. II na imię Girazy Karol

Majdanek Marek na sumę zł 2000-180 ze składką roczną zł 9.65-69 zamorzone.

Należność do rejestru 1931 r.

Składka roczna . . . zł 10.23 gr

" uzupełniająca . . . " " "

za mies. 1931 r. . . " " "

Opłata za oszacowanie . . . " " "

szczegółowe . . . " " "

Razem . . . zł 10.23 gr

Zwrot za budowę rozbr. . . " " "

za mies. 1931 r. . . " " "

Po potrąceniu zwrotu . . . zł gr

Opłata stemplowa . . . zł 0.22 gr

Ogółem . . . zł 10.45 gr



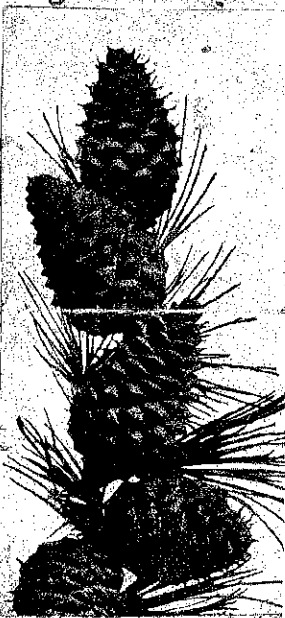
Inspektor i podpis organu wystawiającego dowód ubezpieczeniowy

dnia 19. IV 1931 r.

Lp. budowli w/g planu	Wyszczególnienie ubezpieczonych budowli	Materiał		Wymiary w metrach			Suma		Taryfa				Składka roczna	
		ścian	dachów	długość	szerokość	wysokość	oszacowania	ubezpieczenia w P. Z. U. W. w złotych	tablica	pozycja	składka od 1000 zł		złote	gr
a	Wnę	kale	dach	98	45	2.4	857							
b	gawel	2. f. d.	-4-	23	1.6		60						102.30	2.09
c	Podwórko	13-1-	Stowa	137	61	3.00	990							
d	Stajnia	13. d. 27.	-6-	67	4-	2.2	390						98.590	8.14
							2290	2290					102.86	

Nam pamiątkę z Latrum,
Opactwa O.O. Trapistów
w
Palestynie.

†
Mój Boże
Mity!
Nas znośna
praca
I trud nad
sity,
Cierpienia,
Kryje,
Nie zniechęcają,
Nie przerażają.



Bo serce nasze,
Maluskie, wprowadzie,
Miłością Bożą,
Ogromu morza,
Człkiem patają:
Nam sity dają.

My, stąd Tyś,
Tem, co cierpiemy,
My Ci skrzemy
Twoje królowanie
I Twoją chwałę,
Nasz wieczny Panie,
Latrum dnia 28. IX. 1940.
Oftorymieda

Kartka pamiątkowa otrzymana w Latrum w Palestynie
od ojców Trapistów z wierszem - data 28.IX.1940 r.
(Latrum jedno z miejsc gdzie organizowało się polskie wojsko).



Staw na Łukowcu (wycieczka I)



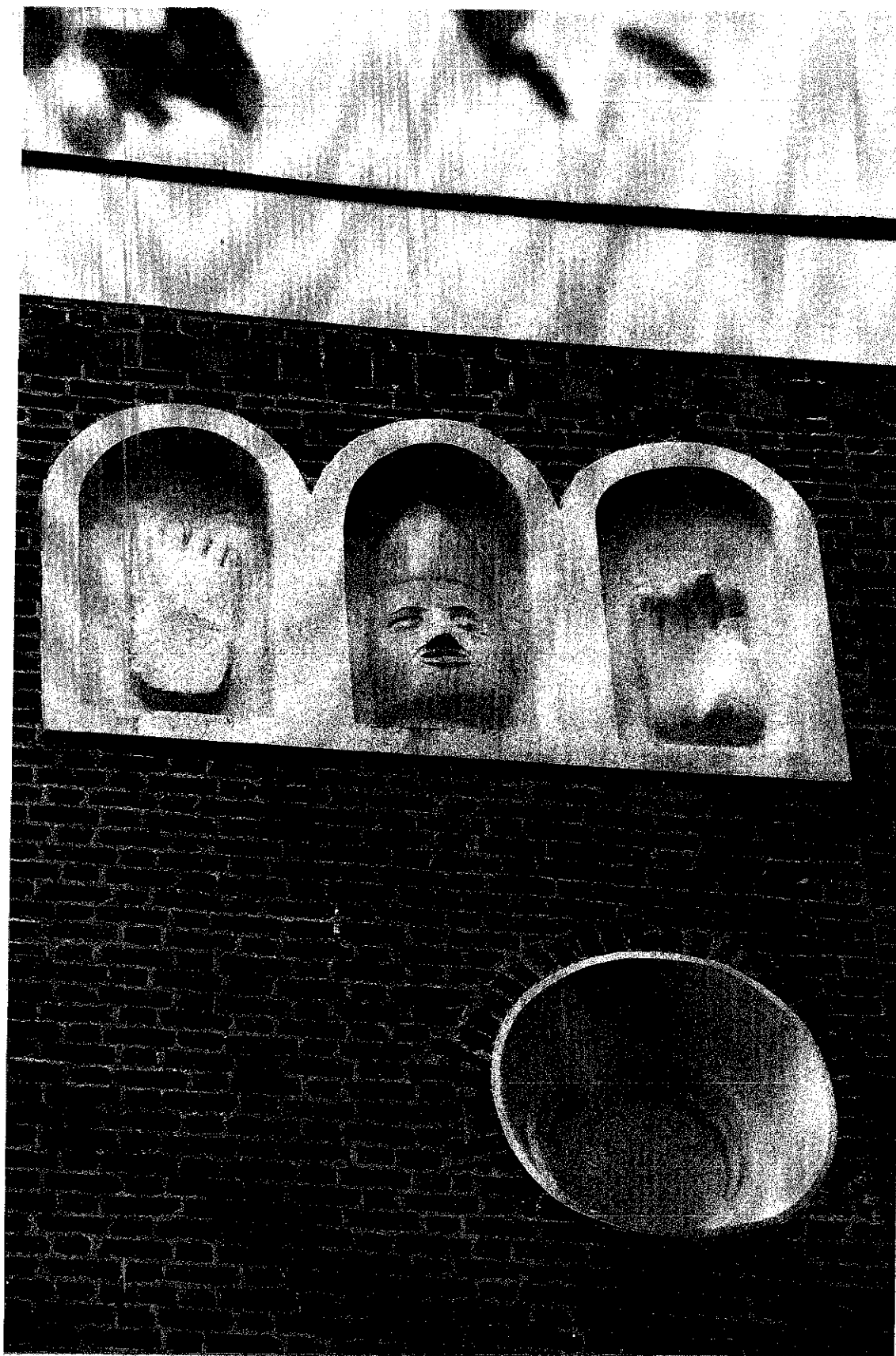
Kościół i dzwonnica na Łukowcu
(wycieczka I)



Cmentarz Orłąt Lwowskich (wycieczka I)



Cmentarz Łyczakowski - Kwatera Powstańców z 1863 r. (wycieczka I)



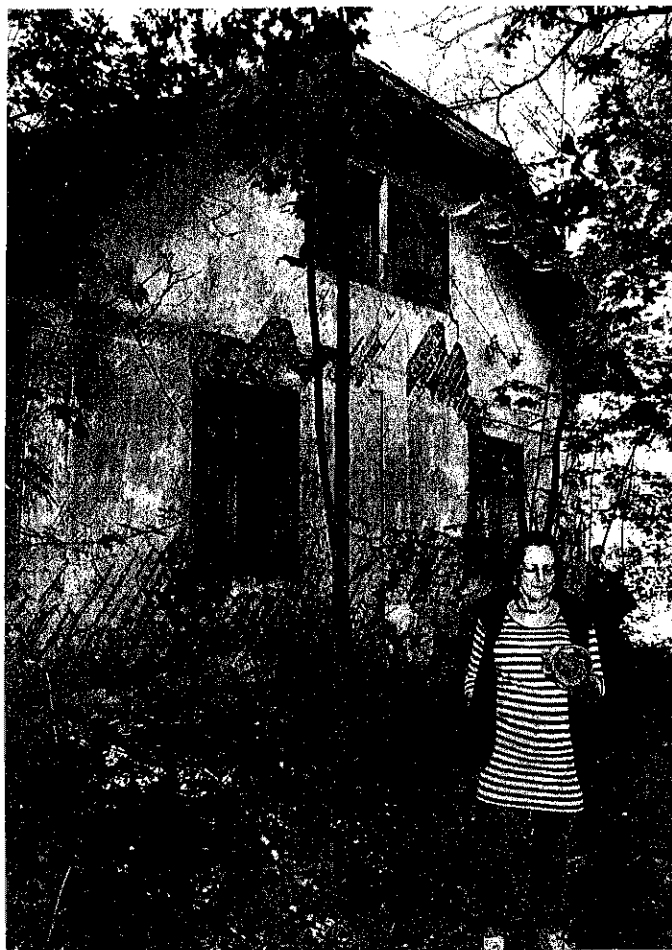
Kościół w Drohobyczy „ręka, noga mózg na ścianie ”



Jesteśmy na Łukowcu (wycieczka II)



Spotkanie z dziećmi szkolnymi (wycieczka II)



Dom Dziadka Antoniego w Łukowcu (wycieczka II)



Transport konny miał też swój urok (wycieczka II)

Sierpiec Boże panu Franciszku z rodziną
Szorecin 10 I 2018
w 2018 roku.

Odpisuję i dziękuję za przysłanie felietonu.
Mam chęć jechać na Łukowiec ale to dość skompli-
kowana sprawa ze względu na to że się opiekuję mężem
nie wiem jak to by się ułożyło to 5 dnia jeszcze z powro-
tem trzeba będzie. Odpisuję na pytanie ile żydów było
u Krawczyków nie wiem tyle, że to był aptekarz
z Żurawna my mieszkaliśmy na końcu Łukowca
wisnowskiego a oni aż na końcu Łukowca
to była nasza rodzina wójeck to był mój mamy brat
pytał pan o tym Sukierskiego w młymie zginął ja nie
nie wiem to mi z naszej rodziny.

Mam w Zielonej Górze brata córkę ona prosiła abym
jej dała adres do pana chęta z panem porozmawiać
by pojechała ze mną na Łukowiec bardzo by była
zadowolona to jest tego młodszy brata co jej babcia
zginął z moją matką co brat Franek też tam zginął
od ukraińców. Jego starszego brata Radek co mie-
szkał w Biegu Polnym mieszka w Wrocławiu
on tym wszystkim się interesuje nie raz mi
jakąś nowinę przekazuje.

Dziękuję za wiadomości i życząc wszystkiego
dobrego w nowym roku 2018

Z poważaniem Janina Piłtrak (Sukierska)



Rodzina Szczęchów z Łukowca



W środku Janina Łukawska z Dołhy,
po bokach - córki Wincentego Marka
w jasnej sukience Agnieszka
z długimi włosami Katarzyna
(zastrzelona przez Niemca)



Jan i Maria Siekierscy z dziećmi
Władysławem i Janiną - rok 1936 r.



Jan Siekierski- zdjęcie
przedwojenne



Siękierski Franciszek
ur. 9 IX 1925 r.
przeżył 19 lat
Zginął bez wieści
około 20 VIII 1944 r.
Prawdopodobnie go ukrai-
ńcy zamordowali za mogiłami

List Józefa Dziuby z Kazachstanu

12 czerwieca 1955

W pierwszych słowach mego listu Pozdrawiam
ciebie Kochanoc Zono i wy moje i
ci Teru słowy Niech zawsze zachowa
ony Jezus Chrystus A teraz Kochanoc
Zono piszę do ciebie znowu słów bo bym
się chciał dowiedzieć o twoim zdrowiu
i o zdrowiu moich dzieci i o powodze
niu bo co o mnie to ja jestem zadowolony
z powodzenia moje to jak nie
byłoby daleko oddalony od swojej
rodziny miłej cyelcam nadzieją
Boże mój Boże kiedy ja się do ciebie
zobaczę i swoje Zonę i swoje dzieci za
kturcami tak bardzo tęsknię ale aniam
co Bogu nadzieję że i tego nie dostracę jak
benedę zdrowy A teraz Kochanoc Zono
niegniewaj się na mnie że ja do ciebie
tak długo nie pisałem to niemyś sobie
że ja może niechciałem do ciebie

Pisac' a moze zapomniec o tobie i
w twoich dzieciach. Ja ciwar zapomnia
mogę i niezapomnę do skutku bende
moja swiecie żyć i niema takiego olucia
i nawet i godziny a żeby ja nie po
myslał gdzie moja rodzina i jak one
tam żyją co oni tam porabiają i kto
tam im w ich życiu pomaga ale ma
w Bogu nadzieję że to wszystko przeżyje
my. Jak Pan Bóg da zdrowie. A ciwar ci
chcę napisać. Kochana żono ołlaczego
ja tak długo do ciebie nie pisałem to mo
żesz wiedzieć że nie miałem możliwości
i nie miałem adresu Twojego a ciwar
bende się starał często pisać do ciebie
Lecy' miał list od swojej żony 13/5
i pisał że Twoj adres mnie przysła
wkreśliłem adres i do tego czasu
nie mam i czasu widzieć że jej
to wielko trudności sprawia. A ciwar

donoszę Kocianną żonę że mnie 28. czer-
wca chcieli odesłać na Łukowec i że
ja się na to niezgodziłem bo ja tam
mam zadany podług i nie mam tam
poco jeżdżąc na warię jestem na miejscu
ja zgodziłem żeby mnie odesłali do żony
i do dzieci na warię. Treba założyć
Łowcz Kocianną żonę nie może być na
swój los żony. Takie nie szczęśliwe mi-
ędzy innymi było wszystko oterwian
i wiem dobrze co zrobić prosz Boga a
Pan Bóg ci dopomóż i da zdrowie. To
wszystko przeżni nie i znowu będzie
my być wspólnie razem. Kocianna żona
żona ten list otrzy masz. Kociennie proszę
odpisz mi i napisz co tam powo-
lacie czy macie swoje gospodarstwo
czy macie krowę wogule o swoim
życiu mi napisz. Napisz mi czy
Zosia i Kuzio chodziły do szkoły.

Drugi list Józefa Dziuby z Kazachstanu

Nowokaraginisk 21/IV 1956

Hochana Zono!

Zasylam Tobie serdeczne pozdrowienie oraz całej mojej rodzinie i donoszę że ja naprawdę jestem zdrowy i któregoś zdrowia nam żyje i całe tego serca Almas Hochana Zono donoszę Tobie że ja wyjechałem z Spaska w Dom Inwalidów do Nowokaraginiska To jest że Spaska 300 km na południowy wschód od Almas kiedyś ci chciałem opisać o tej mojej podróży jako miałem że Spaska to po prostu była ciżba bo jechaliśmy Maszyną bo tu po prostu nie ma to my wyjechaliśmy w sobotę 31/III o godzinie 6-tej rano z Spaska Maszyną gazową przyjechaliśmy do Karagandy na godzinę 7-30 w Karagandzie

Tam czy tylko tyja co na Lukou
i ry Janek i Feria hodra do schoty
To dla mnie jest ciekawe i nie
robie tak musie ze bym srojek chce
ci teraz nie poraat jak przyjadz
niech si zdrowo chowaj i Pein Bog
jeon do postaga wch zyciu wdrugiem
lucie to jaaram wscy napisz eser
aycinai powodierci moje powodier
nie to jest mieste glodny niejest
stieba jest podostatkien i ubran
jestem to wysko niecierz mnie chciat
bym zdrowy zyc to vy mnie lepiej
cie bylo Honie te parz ston mego
pisania i porawoancie Hochan
ion i war moje drogie driatki i
calego serca bywojie zdrowi do prz
tkiego zobacz na si zawaami i
Powraciam cie Hochany wcie Honi
i twoje zdrowie i prosze ten list dowe
czyc mojej zonie bywojie zdrowi
za woin zyerliby Grinba Jorep

my przesiadli na Auto bus i o 9 o
winnie 10-tej wyszliśmy co kierunk
Hawalinisk. To my przyjechali na
miejsce wieczór 19-tej godzinie
droga była ani ołobwa dłużego że
śnieg rozpuszcza i podrobie były
główny bardzo był wielki orłowy
Tak że my przyjechali bardzo zanie
czeni. To w niedziele 1/10. cieniem
się bardzo źle później podnieć ale dzisiaj
się czuję lepiej. A teraz ci nie mogę w
szystkiego dokładnie opisać to oczywiście
jeszcze nigdzie nie byłem. To w do kł
matu to zakłócaniem że bardzo lepszy
Tu są lasy las jest mieszany sosnowy
błota osika domb i opowiadają
że w lesie rośnie dużo grzybów. Mołun
i w lesie jagody. są nie ołobko je
ziwno tak że w lesie ane ma bardzo
cennie ryby na roboty nigdzie niecho
dzimy

A co do poemieszkania To bardzo przy-
zwolite Tuszu sprzyjające posied-
zowieniu Kółka i koc przesied-
zowienia matros poduszka dostali my no
we ubrania buty w palacie -

Razja Riano Tsy raz w Tyomnie
bez płacze A co do Karmienia też
bardzo dobrze pożywien' miso nie

Obiad i wszystko daje Tłasto ale to
mnie nie cieszy dla tego że by ja
chciał bym pojechać do domu Jochana
Jako smutno mnie jest ta że ja do
tego czasu nie otrzymał siebie Wyżna
że bym był mógł się oformić na
wyjazd do Tolski To teraz jeżeli mnie
przyjone jednąć do Karyandy na ofor-
mienie To bardzo wielki koszt bo
Autobus kosztuje 48 rub w jedno stronę
To jeszcze drugie wielkie zmuszenie
potrzeba no jeżeli bardzo miał wyjechać

To może może tu ofiarować mi
mnie tu z Polacy którzy byli tu to
już wyjechali do Polski i ja też
na ulicy Kochana. Znałem ten list
otzymasz to ciębie proszę odpisać mi
malem Hores Nowy Kłany ci podaje
ja pisałem z Spaska do ciebie i do mego
syna Janka i do Karika i nie wiem
czy wy te listy otrzymali bo nie mam
żadnej odpowiedzi i napisz mi jak
wy tam żyjecie to ciębie proszę powieście
mi Karika i moje listy że ja je
stę na moim miejscu to ja ci
drugim liście tobie więcej opiszę o
nowego benonie słuchac to i ciębi by
byli mnie we wreszcie odpowiadali
tu to już na pewno byłem był w domu
a twoje listy które wy wysłali do
Spaska to tu ja też dostanę tu poście
później razem samolotem z
Koragandy

ZESPOŁ
TLUMACZY PRZYSIĘGLYCH
70-227 Szczecin, ul. Kaszubska 43
(obok gmachu sądu)
tel./fax 4489-366
NIP 852-001-81-05

Tłumaczenie z języka ukraińskiego

1809/98

ZAŚWIADCZENIE ARCHIWUM

W dokumentach Archiwum Państwowego obwodu Iwano-Frankowsk, Ukraina, znajdują się dane, że DZIUBA Józef s.Andrzeja, urodzony w 1904 roku, został w dniu 24 września 1945 roku aresztowany we wsi Łukowiec-Wiśniewski rej. bukaczewski, osądzony w dniu 18 marca 1946 roku przez Trybunał wojsk NKWD obwodu stanisławowskiego z art. 20-54-1a KK Ukraińskiej SRR za czyny przeciwko Ojczyźnie i skazany na 10 lat pobytu w Wyczerpującym Obozie Pracy.

Zwolniony z Obozu w dniu 25 listopada 1955 roku.

Na podstawie art. 1 Ustawy Ukraińskiej SRR z dnia 17 kwietnia 1991 roku "O rehabilitacji ofiar represji politycznych na Ukrainie" - DZIUBA Józef s.Andrzeja został zrehabilitowany.

Z-ca Dyrektora Archiwum Państwowego
obw.Iwano-Frankowsk - T.M.TIMKIW - podpis.

Pieczęć okrągła z Godłem Ukrainy w środku
i napisem w otoku: Główny Zarząd Archiwów
przy Gabinetie Ministrów Ukrainy - Archiwum
Państwowe obw. Iwano-Frankowsk.

D-5

07.07.93.

m.Iwano-Frankowsk.

Repert. nr. 207/98 Szczecin, dn. 26 sierpnia 1998 r.

Stwierdzam zgodność niniejszego tłumaczenia
z treścią przedstawionego mi oryginału dokumentu,
sporządzonego w języku ukraińskim.



S. Werkowski

TLUMACZ PRZYSIĘGLY
języka rosyjskiego
STANISŁAW WERKOWSKI
ul. Drzymały Nr 16/13, tel. 43-33-474
70-217 SZCZECIN



ҚАЗАҚ СОВЕТТІК СОЦИАЛИСТІК РЕСПУБЛИКАСЫ
КАЗАХСКАЯ СОВЕТСКАЯ СОЦИАЛИСТИЧЕСКАЯ РЕСПУБЛИКА

Азаматтардың өмір өзгерістері туралы жазуларының архиві
Архив записей актов гражданского состояния

Қала Карағанды
Город

ӨЛІМ ТУРАЛЫ КУӨЛІК
СВИДЕТЕЛЬСТВО О СМЕРТИ

Серия РК № 000704

Азамат
Гражданин

Дзюба (фамилия) — (фамилия)
Иосиф Андреевич (атаы және әкесінің аты — ата және отчество) (туған жылы — год рождения)

умер(ла) 28 июля 1956 (өлген уақыты — цифрмен және жазумен)

тысяча девятисот пятидесяти шестого (дата смерти цифрами и прописью) год

бұл жөнінде азаматтардың өмір өзгерістерін жазу кітабына
о чем в книге записей актов гражданского состояния
1956 жылы июль айының 30 күні тиісті жазу
года месяца числа произведена

унгізілді.
соответствующая запись.

Тіркеу орны г.р. Карагандинск
Место регистрации (жазу енгізген мекеменің аты және қатан жері —
Карагандинской обл. Каз. Сер.
(және қатан жері және мекендеу органы, производившего запись)



Берілген уақыты 17. декабря 1956 ж.
Дата выдачи

Архивтің меңгерушісі
С. Архивом ЗАГСа
Архивтің іс жүргізушісі
Водитель архива ЗАГСа

Дзюба

SĄD APELACYJNY
w Poznaniu
WYDZIAŁ II KARNY
ul. Trójkąta 21, tel. 822-64-01
61-693-1000 (1)
004818424

W Y R O K

W IMIENIU RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

Dnia 8 stycznia 1999r.

Sąd Apelacyjny w Poznaniu Wydział II Karny, w składzie:

Przewodniczący SSA Henryk Laska

Sędziowie SSA Ewa Sikorska-Krysztafkiewicz (spr.)

SSA Przemysław Grajzer

Protokolant insp.sąd.Dorota Dubiel-Lenart

przy udziale Prokuratora Prok.Apel. Pawła Jasiewicza

po rozpoznaniu w dniu 8 stycznia 1999 roku

sprawy Stefani Dziuba, Zofii Szwal, Kazimierza Dziuby, Jana

Dziuby i Józefa Gralaka

o odszkodowanie i zadośćuczynienie za niesłuszne skazanie
przez organa ZSRR Józefa Dziuby

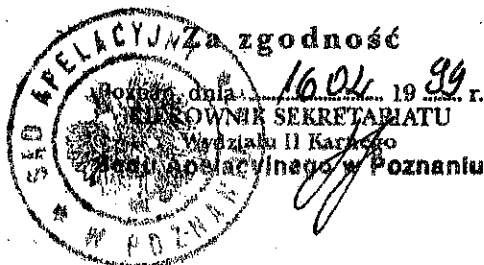
z powodu apelacji wniesionej przez pełnomocnika wnioskodawców
od wyroku Sądu Wojewódzkiego w Szczecinie

z dnia 13 października 1998 roku, sygn.akt III Ko 472/98

1.utrzymuje w mocy zaskarżony wyrok,

2.kosztami procesu w postępowaniu odwoławczym obciąża Skarb
Państwa.

Przemysław Grajzer Henryk Laska Ewa Sikorska-Krysztafkiewicz

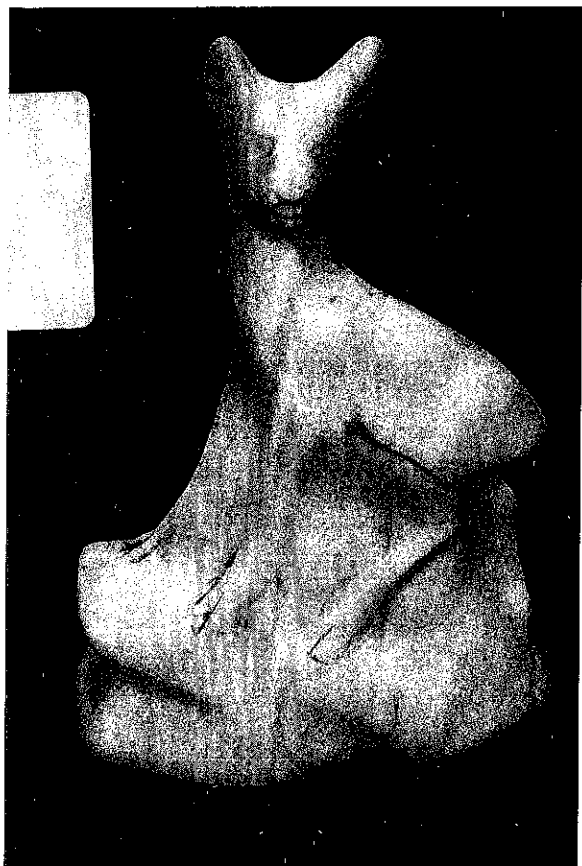




Józef Dziuba - syn Andrzeja,
aresztowany 24.09.1945 r. na Łukowcu.
Był sekretarzem gminy, zmarł 28.07.1956 r.
w Karkaralińsku (Karaganda)



To jest moje zdjęcie
 Krawczyk Anieli
 i wnuki Marysia
 i Bronis Salamon
 To moja
 ciocia Krawczyk
 z Łikowca Żur-
 wskiego co kryła
 li aptekarską
 Izrawną a
 mieszkała
 w Oregu Dolnym



Figurka z alabastru
Dar: Wanda Makosiej
(Stare Bogaczowice)



Zofia i Wojciech Dziubakowie
Wojciech Dziubak był wieloletnim prezesem
„Kasy Stefczyka” na Łukowcu



Franciszka i Andrzej Maciągowie



Srebrna cukiernica
Dar: Barbara Kaczmarek
(Żmigród)

Prywatne Gimnazjum

Włoskie im. Wł. J. J. J.

w. Hugu

Zarządzeniem z dnia 4 grudnia 1936

1. Otwieszenie Publicznego nadal Prywatnego Gimnazjum

Wł. Wł. J. J. J.

w. Hugu

Nr. 5.

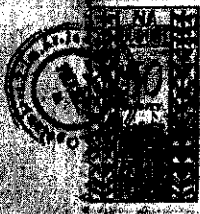
Wyobroster lat ca. 11

Nr. 5. 1291 Minister Wyznań Religijnych

Gimnazjum Włoskie

Wzrostu państwowych gimnazjów ogólnokształcących

Rok szkolny 1937/9



ŚWIADECTWO UKOŃCZENIA

GIMNAZJUM OGÓLNOKSZTAŁCĄCEGO

Buczkowska Joanna

(imię i nazwisko)

urodzona dnia 22 lipca

1924 r. w Łowoszyńsk

przyjęta do klasy drugiej

w dniu 15 czerwca

1934 r., ukończyła w 1939 r. naukę

w zakresie programu gimnazjum

ogólnokształcącego, zorganizowanego

na zasadach art. 20 ustawy z dnia

11 marca 1932 r. o ustroju szkolnictwa

(Dz. U. R. P. Nr 38, poz. 389).

W. Hugu

dnia 21 czerwca

1939 r.

DYREKTOR PRZEŁOŻONA

CZŁONKOWIE RADY PEDAGOGICZNEJ

Janina R. R. R.

Wł. Wł. J. J. J.

Wł. Wł. J. J. J.

Wł. Wł. J. J. J.

Wł. Wł. J. J. J.

Wł. Wł. J. J. J.

Wł. Wł. J. J. J.

Wł. Wł. J. J. J.

Wł. Wł. J. J. J.

Wł. Wł. J. J. J.

Wł. Wł. J. J. J.

Wł. Wł. J. J. J.

Wł. Wł. J. J. J.

Wł. Wł. J. J. J.

Wł. Wł. J. J. J.

Wł. Wł. J. J. J.

Wł. Wł. J. J. J.

Wł. Wł. J. J. J.

Wł. Wł. J. J. J.

Wł. Wł. J. J. J.

Wł. Wł. J. J. J.



V. J. J. J. J.

Grób Nieznanego Żołnierza w Warszawie – nowe tablice

9 listopada 2017 r. na wniosek Ministra Obrony Narodowej na Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie osłonięto dwie nowe tablice poświęcone martyrologii Polaków na Wołyniu, w Małopolsce Wschodniej i Lubelszczyźnie. Na jednej z tablic umieszczono napis: Łukowiec Wiszniowski i Łukowiec Żurawski 1943-1945.

Dla wszystkich łukowian i ich potomków oraz wszystkich, którzy na łukowcach znaleźli schronienie i tych, którzy w formacjach Samoobrony i Armii Krajowej bronili wiosek przed zagładą ze strony Banderowców, jest to wydarzenie niezwykle. Nasi Ojcowie i Dziadkowie zostali zaliczeni do grona największych bohaterów Ojczyzny, a Polska uznała ich bohaterstwo za godne upamiętnienia na zawsze! Cześć Im i Chwała!



Grób Nieznanego Żołnierza w Warszawie to jedno z najświętszych miejsc dla Naszego Narodu. W miejscu tym płonie wieczna lampka ku czci Bohaterów i Obrońców Ojczyzny. Wartę całodobowo i całorocznie pełni tu Batalion Reprezentacyjny Wojska Polskiego, a w dni świąt państwowych: 3 maja, 15 sierpnia i 11 listopada odbywa się uroczysta zmiana warty honorowej z udziałem wszystkich rodzajów Wojsk Polskich. W uroczystościach tych biorą udział: Prezydent RP, marszałek Sejmu, marszałek Senatu, Prezes Rady Ministrów i zaproszeni goście. W protokole dyplomatycznym wprowadzony jest obowiązek odwiedzania Grobu Nieznanego Żołnierza przez delegacje zagraniczne składające wizyty w Polsce. Łącznie na filarach arkad Grobu Nieznanego Żołnierza znajduje się obecnie 20 tablic.